ROCZNIK XII. Wrzesień 1908. Nr. 9.

Wiadomości Salezjańskie

Organ Związku Pomocników Salezjańskich.

* Turyn — Via Cottolengo, 32 *

TREŚĆ:

Spoczynek niedzielny i święcenie dnia Pańskiego.



Wstrzymanie się od pracy w jednym dniu tygodnia nie jest wymysłem ludzkim. Sam Bóg, dokonawszy dzieła stworzenia, ustanowił je na początku świata: „*Błogosławił dniowi siódmemu i weń odpocznął,*" mówi księga Rodzaju.

Gdy żydzi, aczkolwiek naród wybrany, zaczęli zaniedbywać to prawo boże, wyryte przez Stwórcę głęboko w sercu każdego człowieka, Bóg objawił się wśród błyskawic i grzmotów na górze Synai i wypisał je ponownie na kamiennych tablicach, powierzonych Mojżeszowi: „*Pamiętaj, abyś dzień sobotni święcił.*"

Nowy Testament ustanowił w miejsce soboty niedzielę, ale przepis powyższy pozostał nadal prawem bożem.

Narody, które z pod prawa tego wyłamać się chciały, nie mogły dokonać swego szalonego przedsięwzięcia; musiały uznać w swej ślepej dumie, że zawiodły się; musiały zniszczyć własne swe dzieło, wrócić da pierwotnego stanu rzeczy.

Francja zaprowadziła w czasie wielkiej rewolucji sławne „*dekady,*" z których drwił sobie świat cały, a których sami nawet Francuzi nigdy naprawdę nie zachowywali. W r. 1814. przywrócono spoczynek niedzielny, zniesiony ponownie prawem wydanem

przez wolnomyślną trzecią republikę w r. 1880. I oto nieubłagana ironia losu sprawia, że najzawziętsi właśnie prześladowcy Chrystusa i jego Kościoła, ateusze i masoni, muszą w r. 1906 ustanowić nowe prawo o niedzieli, prawo świeckie, państwowe, będące jednak wyraźną zemstą natury, nakazującej hołd dla Stwórcy.

Praca jest święta, bo Bóg jej żąda: praca niedzielna jest świętokradztwem, bo Bóg jej wzbrania.

Trzeba jednakże bliżej oznaczyć przedmiot omawiany.

Pracę możemy podzielić na trzy kategorje: *prace służebne*, *prace wolne* i *prace pospolite*.

Wyrażenie: *prace służebne*, obejmuje cały zakres czynności, wymagających udziału raczej ciała niż umysłu: prace w polu, ścinanie drzew, zamiatanie ulic, przewóz towarów, spuszczanie okrętów, rozmaite gałęzie przemysłu i rzemiosła.

Pod *pracami wolnemi* rozumiemy zajęcia, w których czynniejszy jest umysł niż ciało: czytanie, nauka, pisanie, rysowanie i t. d.

Prace pospolite oznaczają wreszcie owe rozmaite zatrudnienia życia codziennego, w których umysł i ciało równy prawie biorą udział: śpiew, zabawa, podróż i t. p.

Przykazanie boże wzbrania w niedzielę jedynie prac służebnych; a że Bóg nie sądzi człowieka szablonowo, rzeczywista więc potrzeba usprawiedliwia wyjątkowe przestąpienie tego prawa.

Czy taka przerwa w pracy co tygodnia jest dla społeczeństwa szkodliwą? Bynajmniej, jest owszem korzystną i wszystkie narody kulturalne w tem się zgadzają. Na kongresie międzynarodowym, odbytym podczas wystawy paryskiej w r. 1889., delegaci rozmaitych narodowości i wyznań, zebrani ze wszystkich stron świata, orzekli zgodnie:

1) że każdy człowiek, każdy robotnik potrzebuje jednego dnia wypoczynku w tygodniu;

2) że dniem tym może być tylko niedziela.

Praca niedzielna nikomu jeszcze zresztą nie przyniosła korzyści.

Proboszcz z Ars mawiał: — „Niema pewniejszych środków zubożenia się, nad pracę w niedzielę i przywłaszczenie sobie cudzego mienia.” —

Gibier opowiada:

— Kardynał Gousset, arcybiskup z Rheims, widział z bólem serca, jak gwałcenie niedzieli rozpanoszyło się w jego dyecezji. Zaprasza tedy do siebie jednego z najznaczniejszych kupców w Rheims, dobrego katolika, i prosi go, by celem dania ogółowi dobrego przykładu, zaniechał wszelkiej sprzedaży w niedziele i dni świąteczne. Ten wzbrania się i oświadcza, że to absolutnie niemożliwe. Jego interesa kupieckie ucierpiałyby na tem i przyszłość jego dzieci byłaby niepewna.

— Dobrze — rzecze kardynał — zaprzestań pan jednak na razie sprzedaży w niedzielę i święta; oblicz sobie dokładnie co wieczór dochody dzienne, i podobnież z końcem roku, a jeśli one nie wyrównają dochodom z roku ubiegłego, to deficyt ja zobowiązuję się spłacić.

— Ależ, Eminencyo!

— Pod warunkiem jednak, — przerywa zaraz kardynał, — że jeśli przeciwnie będzie pan miał zysk większy, to zwyżkę tę ofiarujesz mi pan na cele dobroczynne.

Z końcem roku przychodzi ów kupiec z uśmiechem do kardynała, mówiąc:

— Eminencyo! przychodzę wywiązać się z danego przyrzeczenia, przynosząc 6000 franków. Jestto zwyżka mych dochodów tegorocznych nad lata ubiegłe.

Zawsze i wszędzie sprawdzają się słowa Pisma św.: „Szukajcie najprzód królestwa Bożego i sprawiedliwości

jego, a to wszystko będzie wam przydano."

Nikt nie zubożeje, nie zrujnuje się, święcąc niedzielę.

Nie gwałcić niedzieli pracą ręczną, znaczy już coś; ale to nie wystarcza dla chrześcijanina-katolika. Jeśli chcemy spełnić swój obowiązek względem Boga, musimy uświęcić ten dzień wypoczynku. Na pierwszem więc miejscu należy słuchać mszy św., od czego się wielu, niestety, uchyla pod najbłahszymi pozorami. Albo jesteśmy katolikami, albo nie ; a jeśli mamy szczęście nimi być, pełnijmyż obowiązki swego wyznania!

Gibier pyta:

— ,,Czy dla uświęcenia niedzieli wystarcza wysłuchać cichej mszy św. bez kazania? Osobom obciążonym obowiązkami, w rzeczach religii zresztą dobrze pouczonym, niekiedy to wystarcza. Ale czy wystarcza to dla ogółu chrześcijan mających wiele czasu wolnego a nieświadomych najelementarniejszych zasad religii? Czy ta msza cicha, wysłuchana z pośpiechem, te spojrzenia roztargnione, ten umysł zajęty tysiącem najrozmaitszych myśli, te uszy wrażliwe na najmniejszy szmer, te kolana uginające się ledwie przed majestatem Najwyższego, czy wszystko to może religii przynieść wiele zaszczytu? Czyż z tego składa się niedziela prawdziwego katolika?

A więc trzeba sobie stawić za punkt honoru, za miły obowiązek, wysłuchać sumy i kazania zastosowanego przez duszpasterza specyalnie do potrzeb słuchaczy.

Jakże zaniedbujemy również pięknego obrzędu nieszporów połączonych z błogosławieństwem Przenajśw. Sakramentu! Jakże niektórzy spoglądają nań jakby lekceważąco, jakby na przesadę, jakby na nabożeństwo gminu!

A tymczasem czy nie byłoby to wspaniałym przykładem, budującym rodzinę, przyjaciół i tych wszystkich, którzy nas znają i poważają, gdyby nas widziano na popołudniowem nabożeństwie niedzielnem? ? Czy nie zyskalibyśmy przez to błogosławieństwa bożego dla siebie i swych prac?

O, jakiemż to szczęściem tchnie rodzina, gdy jej członkowie, spełniwszy obowiązki religijne, gromadzą się wieczorem w cichej izdebce! Czułość, serdeczność, zaufanie i wesołość panują w takim domu. Niedziela, to dla nich dzień prawdziwego szczęścia i słodkiej radości.

W niedzielę wreszcie, dzięki zebraniu się wiernych w świątyni, zbliżają się bogaci i biedni, szczęśliwi i cierpiący, radości i bóle dzielą się i znoszą wzajemnie. I czuje się, jak w miejsce zawiści rozkwita wszędzie uczucie religijne, które krzepi, pociesza, uzdrawia.

Nie gardźmy więc manną niebieską, którą Bóg zsyła nam w błogosławionym dniu niedzielnym. Jesteśmy wędrowcami dążącymi do ojczyzny: potrzebujemy przeto częstego wypoczynku, celem szukania prawdziwego światła rozświecającego nasze ciemności, celem wzmocnienia naszych wątłych sił czerstwym pokarmem. Jesteśmy żołnierzami, którym brak wytrwałości i odwagi. Nużymy się łatwo w boju i musimy często krzepić duszę modlitwą. Jesteśmy kupcami, pragnącymi nabyć niebo, a skarby łaski są jedyną monetą mającą znaczenie w tem kupiectwie bożem. Chodzi więc o zebranie sobie tych skarbów, a niedziela jest właśnie dniem, w którym ich kościół hojnie wiernym udziela.

Uważajmy zatem za wroga groźnego dla naszej przyszłości i zbawienia wszystko to, co odrywa nas od święcenia niedzieli, jak bezczynność, huczne zabawy publiczne a przedewszystkiem wycieczki.

Policzcie bowiem, jeśli to możliwe, ilu to wycieczkowiczów zaniedbuje obowiązku wysłuchania choćby jednej tylko cichej mszy św. Ani pomyślą

o tem, aby przybyli do celu dość wcześnie, by mogli następnie wysłuchać mszy św. A choć zdarzy się niekiedy, że zdążą w porę, to ilu znajdzie się takich, którzyby poszli na mszę?

Mania wycieczek niedzielnych poczyniła z biegiem czasu zastraszające postępy. Dawniej uważano to przynajmniej za rzecz niedobrą, a wycieczki zdarzały się rzadko. Dziś już nikt tak nie myśli. Ponieważ niedziela jest dniem wypoczynku, więc komitety układają listy wycieczek i w trzy, cztery tygodnie przed tem widzieć można na murach olbrzymie afisze, a w dziennikach długie ich spisy i zachwałki.

Szanujmy tradycje ojców i ich święte zwyczaje; niech niedziela będzie dniem prawdziwego wypoczynku, niech będzie poświęcona wyłącznie Bogu. Prócz tego starajmy się, o ile wpływ nasz sięga, rozkrzewiać chrześcijańskie święcenie niedzieli.

Wy, Czcigodni Pomocnicy i Czcigodne Pomocnice, wiele dokonać możecie pod tym względem swoją radą a przedewszystkiem przykładem, gdyż najwymowniejszem i najskuteczniejszem kazaniem jest przykład. Uświęcajmy się i pracujmy, aby uświęcić dzień Pański.

Z NASZEGO SKARBCA

czyli odpusty, które Pomocnicy Salezjańscy zyskać mogą w miesiącu październiku.

Pomocnicy salezjańscy, którzy wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunję św. nawiedzą nabożnie jaki kościół lub kaplicę publiczną i tam na intencję Ojca św. się pomodlą, zyskać mogą w miesiącu październiku następujące odpusty:

A. — *Zupełne:*

a) W dzień Matki Boskiej Różańcowej (4. października).

b) W dzień Macierzyństwa Matki Boskiej (11. października).

c) W dzień Dziewictwa Marji (18. października).

d) W dzień, w którym się wpiszą do Związku Pomocników.

e) Raz w miesiąc w dniu przez każdego dowolnie obranym.

f) Raz w miesiąc w dniu, w którym odprawią ćwiczenie t. z. dobrej śmierci.

g) W dniu, w którym się po raz pierwszy poświęcą Najśw. Sercu Jezusowemu.

h) Ilekroć przez ośm dni z rzędu odprawią rekolekcje.

i) W godzinę śmierci, jeśli wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunję św., lub co najmniej wzbudziwszy akt skruchy, ustnie lub przynajmniej sercem wezwą nabożnie Najśw. Imienia Jezus.

B. — *Cząstkowe:*

a) Ilekroć odnowią poświęcenie siebie samych Najśw. Sercu Jezusowemu: *odpust siedmiu lat i tyluż kwadragen.*

b) Ilekroć uczyć będą bliźnich służyć do Mszy św.: *odpust siedmiu lat i tyluż kwadragen.*

c) Ilekroć wzbudziwszy w sobie conajmniej serdeczny akt żalu, spełnią jaką praktykę nabożną lub jaki uczynek miłosierny: *odpust 300 dni.*

Wszystkie powyższe odpusty, z wyjątkiem odpustu zupełnego w godzinę śmierci, można ofiarować za dusze w czyścu cierpiące.

C. — *Przywileje:*

a) Wszystkie Msze św., które jakikolwiek kapłan odprawi za zmarłych Pomocników, są zawsze i wszędzie uprzywilejowane.

b) Pomocnicy, którzy są kapłanami, mogą *w trzy dni* każdego tygodnia korzystać z indultu ołtarza uprzywilejowanego osobistego, jeżeli nie uzyskali jeszcze podobnego indultu na inny dzień tygodnia.

D. — *Indulty.*

a) Pomocnicy chorzy lub rekonwalescenci, którzy nie mogą wygodnie wychodzić z domu, dostępują wyżej podanych odpustów, jeżeli zamiast zwiedzenia kościoła zmówią pięć Ojcze nasz, pięć Zdrowaś i pięć Chwała Ojcu.

b) Pomocnicy żyjący w seminarjach, kolegjach i innych Zgromadzeniach, mogą dostąpić wszystkich odpustów nadanych Związkowi Pomocników i odpustów udzielonych kościołom Zgromadzenia Salezjańskiego, jeżeli wypełnią inne warunki i zwiedzą swój kościół, lub w braku tegoż, prywatną kaplicę swego domu.

Uwaga. — Aby dostąpić powyższych *odpustów,* trzeba należeć do Związku Pomocników i odmawiać codziennie *Ojcze Nasz*, *Zdrowaś Marja* i *Chwała Ojcu* na intencję Ojca św. z westchnieniem: *Święty Franciszku Salezy, módl się za nami!*

(Dekrety św. Kongregacji Odpustów i Relikwji z 1. 10. 1904 i z 8. 5. 1906 r.).

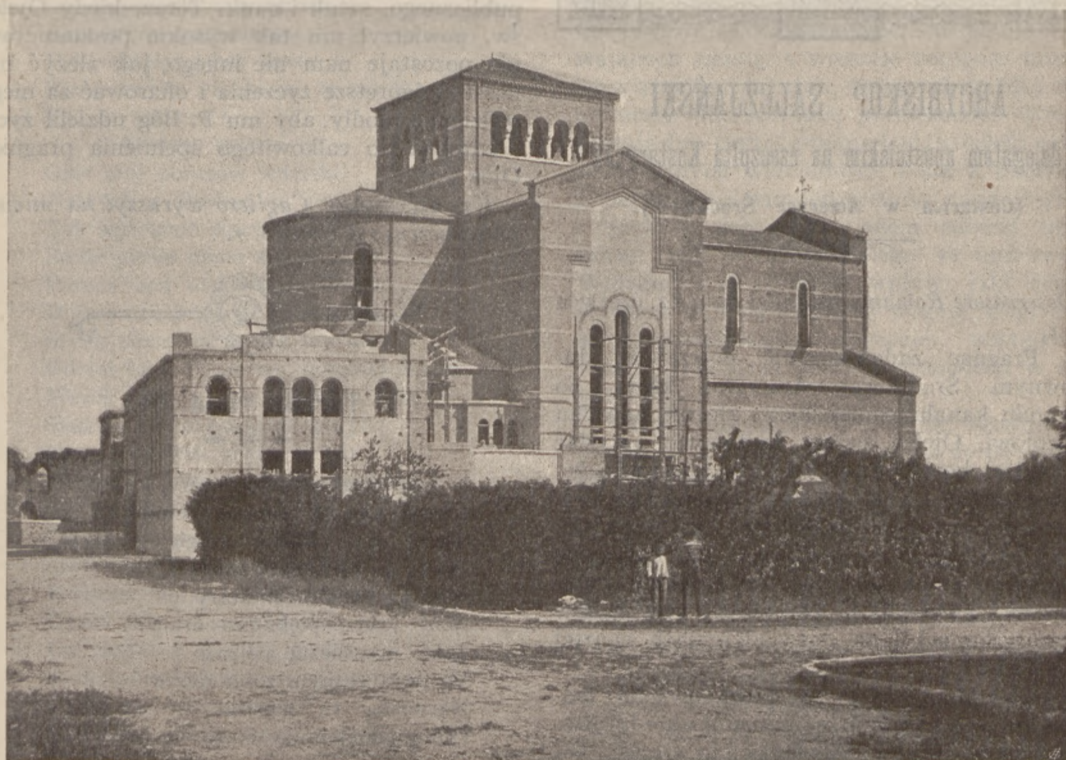
NOWY KOŚCIÓŁ
Panny Marji Oswobodzicielki
W RZYMIE.

Prace około nowego kościoła Panny Marji Oswobodzicielki, prowadzone pod bezpośredniem i rozumnem kierownictwem autora projektu, pana Marjana Ceradiniego, nie zostały zamącone żadnym wypadkiem i dlatego postępują naprzód w pocieszającem tempie. Wielkie sklepienia i nawata środkowa już są zupełnie wytynkowane i otrzymały proste, jednokolorowe, ale bardzo znamienne zabarwienie i ozdobę. Tak zewnętrzna jak wewnętrzna strona okien jest całkowicie wykończona. Gdzie się spuszczają rusztowania, tam prace są kompletnie wykończone, i do nich już nie będzie trzeba powracać. Rozpoczęto także prace około posadzki z białego marmuru i mozaiki. Materjał do tego potrzebny, znajduje się już w części na miejscu.

Pracuje się również nad czterema wielkiemi drzwiami pod chórami, jako też nad balkonami łączącymi chóry między sobą.

Sufit w sali zgromadzeń parafjalnych jest całkowicie ukończony a materjał do sufitu nad zakrystją stoi na pogotowiu. Położono już także fundamenta pod wielki ołtarz i pod kazalnicę. Tu i ówdzie wykończają się inne prace jak n. p. około zakładu, którego pierwsze piętro jest gotowe, i około teatru dla kaplicy świątecznej, będącej darem pewnej pobożnej pani.

Jednem słowem, ruch około tej budowy jest imponujący, bo pracują przy niej w tej chwili majstrowie każdego działu budownictwa; nie mniej ważny i znaczny jest ruch postronny, mający związek z tąż budową. W Medjolanie pracują nad dwoma wielkimi ołtarzami: w Turynie nad mozaikową posadzką; we Wenecji nad mozaikową fasadą; w Rzymie nad ozdobną poprzecznicą ponad prezbyterjum, nad marmurową kazalnicą, nad wielkiemi kropielnicami, drzwiami frontowemi z drzewa orzechowego i bronzowem obiciem, nad kratami, żelaznym płotem mającym okalać świątynię, nad wielkim herbem papieskim na fasadzie, a wszystkie te prace zapewnione są regularnymi kontrak-



RZYM. — Kościół Matki Boskiej Oswobodzicielki *(Stan robót w lipcu b. r.).*

tami i bezpośrednio doglądane tak, iż można mieć pewność, że dzieło zostanie ukończone w oznaczonym czasie.

* * *

Przypominamy, iż dzień obchodu jubileuszowego wyznaczony jest na 16 listopada i tegoż dnia ma być poświęcony kościół Panny Marji Oswobodzicielki. Kto może, niech jeszcze przyłoży rękę do tego wzniosłego dzieła, podjętego przez najczcigodniejszego ks. Michała Ruę.



ARCYBISKUP SALEZJAŃSKI

delegatem apostolskim na rzeczpltą Kostarycką

(Costarica w Ameryce Środkowej).

Osservatore Romano pisał pod datą 12. czerwca b. r.

« Pragnąc zadośćuczynić potrzebom duchownym Środkowej Ameryki, która po otwarciu kanału panamskiego ulegnie nowemu rozwojowi, Ojciec święty postanowił wysłać do rzpltej kostaryckiej delegata apostolskiego, przeznaczając na to wysokie stanowisko najprzew. ks. arcybiskupa Sebasty, ks. Jana Cagliero, wikarjusza apostolskiego na Patagonię Północną i Środkową, który w Ameryce Południowej i gdzieindziej pozostawił tyle śladów swej roztropnej i na doświadczeniach opartej działalności.

Zakomunikowawszy to postanowienie rządowi kostaryckiemu przez ministra akredytowanego przy Stolicy Apostolskiej, Ojciec św. otrzymał odpowiedź, że rząd miłeby przyjął akredytowanie dyplomatyczne delegata. Tak więc ks. Arcybiskup pojedzie do Kostaryki jako delegat Apostolski i jako nadzwyczajny poseł Stolicy św. do tej rzeczypltej. A nie ulega wątpliwości, że dobre usposobienie tamtejszego rządu i wysokie przymioty nowego przedstawiciela Stolicy Apostolskiej przyniosą błogie owoce i odpowiedzą wielostronnie apostolskiej troskliwości Ojca św.

Przewodnik pierwszej wyprawy misjonarzy salezjańskich do Argentyny w roku 1875, a w r. 1884 mianowany wikarjuszem apostolskim na Patagonię Północną i Środkową, ks. arcybiskup Cagliero był dla Patagonii mężem prawdziwie opatrznościowym.

« Ani trudy — pisała swego czasu *La Patria degli Italiani* wychodząca w Buenos Aires — ani przeszkody, ani brak środków nie zdołały złamać ducha lub podciąć siły tego niezmordowanego wojownika dla sprawy uobyczajenia i podniesienia bytu materjalnego i moralnego owych ludów. Za sprawą Salezjanów, kierowanych przez ks. biskupa Cagliero, Patagonia uległa całkowitemu przeobrażeniu. A kraj jego opiece powierzony mierzył 730000 km2. »

Poważany w najwyższych sferach hierarchii kościelnej, mając wielki wpływ nietylko u rządu ale i u ważniejszych osobistości chilejskich, urugwajskich i brazylijskich, położył niespożyte zasługi około podniesienia religji, wychowania publicznego, sztuk i nauk. Teraz, kiedy Ojciec św. powierzył mu tak wysokie posłannictwo, nie pozostaje nam nic innego, jak złożyć mu nasze najgorętsze życzenia i ofiarować za niego codzienne modły, aby mu P. Bóg udzielił życia i zdrowia do całkowitego spełnienia pragnień Ojca św.

Ks. arcybiskup Cagliero wyruszył na miejsce przeznaczenia 8 lipca b. r.



Tariški Grad (1).

U stóp dość wysokiej góry,
Której szczyty ciemne chmury
Owiją, gdy wiatry srogie
Pędzą je jak trzody mnogie,
Stoi nasz zameczek stary.
Ach! Jakiej piękności czary,
Jakie prześliczne pejzaże
W artystycznym tobie darze
Naznosiła tu natura.
Olimpijskiej muzy córa,
Dusza twa rwie się w obłoki,
By na wszechgór spojrzeć stoki,
Po uroczych bujać skłonach,
Zasłuchać w pasterza tonach,
Upoić się borów szumy,
Ukołysać w sen, zadumę!...
Spojrzyj w dół: twe oko zoczy,
Jak swe wody Sawa toczy,
Jaki bieg jej wiotki, kręty,
Jakie wiry i zamęty.
Z jednej strony Mirna chyża
Żwawym biegiem do niej zmierza;
Z drugiej śle jej swoje wody
W czasie deszczu i pogody
Inna rzeczka, z gór spiesząca.

(1) Tak nazywał się zamek (gród) oddany obecnie Salezjanom i przerobiony na Zakład naukowy.

Mimowoli strunę trąca
Wesela duch rozigrany,
Gdy na jasne spojrzy łany,
Które świecą między lasy,
Na których nie brzmią hałasy,
Lecz śpiewaków leśnych śpiewy,
A zefiru lekkie wiewy
Balsamiczną chłodzą wonią.
Toż gdy w wiosce na mszę dzwonią,
Echo srebrne brzmi i leci,
W sercu błogie światło nieci
W Boga świętej, żywej wiary.
Rzeczywistość, czy to mary
Przed twym wzrokiem się unoszą?
Czy ci prawdę oczy głoszą,
Albo tylko masz obrazy
Tak subtelne i bez skazy
Przed twym wzrokiem, że cię mami
To, co widzisz!?
Ach! bo splami
Opis mój obrazów wdzięki,
Których z Boskiej ja poręki
Tak widokiem serce poję,
Że do pieśni duszę stroję!.....
Potocz hen wokoło wzrokiem:
Dojrzyszli, gdzie się z obłokiem
Styka ziemia w uścisk bratni?
Gdzież tam! W cudnej, górskiej matni
Wzrok twój z góry znów na górę
Skacze, ciemne zgłębia bory.
Tam kościółka wieża strzela
W górę do Wszech-Stworzyciela;
Tu po stokach malowane
Ciągną się pola zasiane;
Śród nich łączka zielenieje,
Kwiatek się do ciebie śmieje,
Dymu słup co się podnosi,
Do chatki w gościnę prosi;
Tam znów świstem się odzywa:
„Jadę ja, lokomotywa!"
Wszystko wkoło mówi, śpiewa,
A w twej duszy — w niej dojrzewa
Jakaś błogość, upojenie,
Rwie się z niej wesele, pienie!
Gdyś w duchowej jest rozterce,
Spokój tu znalezie serce,
Gdyż tu wszechświat Boży, prawy
Zdrową ci podaje strawę;
A choć czasem hukną gromy,
Strasząc chatki, krusząc złomy,
Jednak niema tu obłudy,
Tylko Boga wielkie cudy.
Żyjąc, nie pomnisz o świecie,
Ni o pracy jego kreciej.......
Bo tu praca jasna, ładna,
Bo tu nie *Mont Carle*, lecz Radna.

J. S.



Czytanie dobrych pism.

Nigdy jeszcze świat nie oddawał się tak powszechnie i namiętnie czytaniu, jak obecnie. Powodem tego ciągły postęp oświaty, wzrost liczby pisarzy i czytelników, nadzwyczajne ulepszenia prasowe, łatwość i szybkość środków komunikacyjnych, nadzwyczaj nizka cena dzieł i dzienników zalewających ziemię, a wreszcie mnogość bibliotek i czytelni bezpłatnych, stojących każdej chwili otworem dla szerokiej publiczności. Wszyscy czytają lub czytać pragną bądźto celem nabycia pożytecznych wiadomości, bądź z obowiązku, z potrzeby, z zamiłowania do nauk, bądź też z prostej ciekawości, celem zabicia nudów, czasu, bądź wreszcie dlatego, że inni czytają. Widzimy stąd ogromny wpływ, jaki czytanie wywiera na całą ludzkość wogóle, a na umysł, serce, przekonania, obyczaje, postępowanie i cały tryb życia każdego człowieka w szczególności.

Władze umysłowe i moralne rozwijają się, podobnie jak ciało, odpowiednio do podawanego im pokarmu.

Lektura jest jakby pokarmem ducha: myśli w niej zawarte urabiają ludzi, którzy się jej oddają. Prócz tego każdy człowiek stosuje swe przekonania i postępowanie do nabytych wiadomości i wykształcenia umysłowego.

Wiadomości czerpie człowiek przeważnie w czytaniu, które roztacza przed nim najrozmaitsze wyobrażenia, przedstawia mu szeregi osób, których myśli, namiętności i czyny mimowolnie sobie przyswaja, biorąc je za normę swego życia.

Ach! jakby to było dobrze, gdyby wszystkie owe ulotne broszury, dzienniki i książki zawierały jedynie prawdę, hołdowały tylko cnocie i obowiązkowi. Niestety — tak jednak nie jest. Trzeba więc starać się o dobrą lekturę, popierać ją, polecać zawsze i wszędzie, a złej unikać, zwalczając ją wszelkimi legalnymi środkami, szczególnie w obecnych czasach, gdy ona na świat wywiera tak zgubne wpływy.

Byłoby rzeczą zupełnie zbyteczną rozwodzić się długo nad wykazaniem, że zła lektura jest niezmiernie niebezpieczną i zgubną. Wystarczy powiedzieć, że jak właściwością trucizny jest trucie, tak właściwością złego jest gorszenie.

Przystąpmy do faktów i świadectw. Niedobra

lektura przyniosła ludzkości więcej szkody, niż wszystkie inne nieszczęścia razem wzięte. W ostatnich szczególnie wiekach nic nie przyczyniło się bardziej do zwalczania prawdy, zohydzenia religii, rozkrzewienia ducha niewiary, zepsucia obyczajów, jednem słowem do skalania, skażenia wszystkiego pod względem religijnym, moralnym i społecznym, jak właśnie złe i niemoralne pisma.

Czyż nie tu leży główna przyczyna łatwych i szybkich postępów protestantyzmu w XVI. wieku? Nic go nie popierało tak dzielnie, jak jadowite pisemka. Czyż gwałtowne przewroty dokonane w Europie z końcem XVIII wieku nie są owocem pism fałszywych filozofów z Voltairem na czele, którzy w umysły narodów zasiali ziarno bezbożności, niewiary i bluźnierstwa? Czyż deprawacya i smutne pod każdym względem położenie współczesnej Francyi nie są dziełem złych pism, rozsiewanych bezkarnie dzięki niebywałej anarchji prasy?

Nie można się łudzić. Za główną przyczynę zboczenia umysłowego i demoralizacyi musimy uznać przedewszystkiem złe książki t. j. wszystkie przesiąkłe zgnilizną publikacye, które napotykamy dziś zawsze, wszędzie i u wszystkich pod formą powieści, przeglądów, broszur, pism ulotnych, w których wszyscy a szczególnie młodzież szuka dla siebie codziennej strawy, znajdując do ostatecznych granic posuniętą bezbożność i brudy.

Nigdy nie użyło piekło skuteczniejszego środka do demoralizacyi i zepsucia nad złe pisma. Wiedzą też o tem wszyscy propagujący zepsucie, rozbudzający złe instynkta upadłej natury, ci wszyscy truciciele publiczni, wrogowie Boga, prawdy i cnoty, którzy stawili sobie za zadanie deprawacyę społeczeństw, zatratę dusz odkupionych krwią Chrystusową.

Niektórzy z nich odważyli się wprost na bezczelne wyznania. Bezbożny J. J. Rousseau tak się pewnego razu wyraził o współczesnych romansach:

— „Na wszystkich tych książkach należałoby wypisać słowa, wyryte przez jednego z królów egipskich na części swej biblioteki: Trucizna dla duszy."

Inną razą zawołał: „Nie mogę spojrzeć na żadne swe dzieło bez drżenia. Zamiast budować, burzą, zamiast krzepić, trują; lecz namiętność mnie opanowała i we wszystkich swych dziełach jestem tylko zbrodniarzem."

Diderot wyrwał z rąk swej córki jedno ze swych dzieł, jakby jej odbierał broń samobójczą.

Jak dobrze znała masonerya potęgę złej lektury, stawiając za główny warunek swego panowania zepsucie, dokonane zapomocą tego środka:

„Rozpowszechniajmy także występek wśród tłumów, mówił w r. 1904 jeden z naczelników piekielnego stowarzyszenia, — niech się nim karmią i niech się nasycą. Napójcie serca zdrożnością, a nie będziemy mieć katolików." I z jaką to djabelską gorliwością dążą pisarze masońscy do urzeczywistnienia tego programu!

Można powiedzieć, że w dzisiejszych czasach djabeł opanował prasę, aby jeden z najpiękniejszych wynalazków ludzkiego umysłu mieć na swe usługi.

Przedewszystkiem zaś dzieje się to zapomocą niedobrych, zgubniejszych jeszcze niż książki dzienników. Wychodząc w świat tysiącami niby niezliczone i dzikie wojsko, rozlewają z niepojętym bezwstydem truciznę pod rozmaitą formą, popularyzują i wszczepiają w tłumy występek i zbrodnię, wnikają w najzaciszniejsze wioski, rugując z nich resztki wiary i dobrych obyczajów.

Najpotężniejszą bronią przeciw temu złemu jest dobra lektura. Co bowiem złe pismo zepsuje, to dobre naprawić potrafi. Jeśli pierwsze można przyrównać do złego przyjaciela, lub przewrotnego towarzysza, to drugie, przeciwnie jest przyjacielem dobrym, wywierającym dodatni wpływ na poczucie obowiązku i cnoty. Słusznie ktoś powiedział: „Nic lepszego nad dobrą książkę." Jakże ona bowiem kształci umysł, wyrabia zdrowe idee i bystre sądy, demaskuje fałsz i kłamstwo, wzmacnia wolę a niekiedy dusze, podnosi do szczytu heroizmu, łagodzi i leczy rany i bóle, jakie nieraz trapią serce.

O. Coubé powiedział niedawno: Dobra książka to cudowny apostoł, który wszędzie umie dotrzeć: znajduje przyjęcie nawet tam, gdzie suknia kapłana odrazę wzbudza; jest mile widzianą tak na poddaszu, jak w salonie; ma prawo mówić wszystko, dawać rady, czynić wyrzuty. Ona zawsze dokonywała cudownych nawróceń. Któż był tym kaznodzieją, który dokonał nawrócenia św. Augustyna, i kto go wyrwał z manicheizmu? Była to książka: *List św. Pawła.* Któż zmienił św. Ignacego, złożonego chorobą i żądającego romansów rycerskich celem skrócenia sobie chwil boleści?

Była to książka: *Żywoty Świętych.* Któż skłonił do życia chrześcijańskiego nieszczęśliwego Laharpe'a jęczącego w lochach więziennych? Była to książka *O Naśladowaniu Chrystusa.* Któż nawrócił znakomitych chrześcijan naszego wieku, takich La Moricierów, Veuillotów, Marceau'ów i tylu innych? Były to również książki, książki dobre.

Nie waham się zatem twierdzić, że rozpowszechnianie tych niestrudzonych apostołów jest dziełem pożyteczniejszem i Bogu milszem, niż utrzymywanie szpitali, gdyż donioślejszego znaczenia jest ocalenie duszy, niż ciała.

Na szczęście poczęto już prawie wszędzie odpowiednio pojmować tę zbawienną rolę dobrej lektury. Uznano nawet konieczną potrzebę przeciwdziałania złemu, zwalczania jego opłakanych wpływów. Stąd też wszędzie zabiegi około wydawania i rozszerzania dobrych książek. Stąd owe biblioteki katolickie i bezpłatne dla ludu, utrzymywane szlachetnemi ofiarami i poświęceniem się osób zdrowo myślących. Stąd owe staranie, celem rozganizowania i rozwinięcia dobrej prasy. Cóż wreszcie znaczą naglące upomnienia, zwrócone do wszystkich katolików przez ostatnich dwu papieży Leona XIII i Piusa X. celem zachęcenia do popierania dobrej prasy? Czyż nie znaczy to, że dobra lektura — czyto książka, czy śpiewnik, — jest bronią niezbędną w walce dobrego przeciw złemu?

Drodzy Pomocnicy, wy znacie życie naszego ukochanego Ojca, czcigodnego ks. Bosko i wiecie, że był on rzeczywiście mężem swojego czasu. Już od młodości widział konieczność przeciwstawienia złej prasie prasy dobrej i stąd, mimo swych licznych zajęć, pragnął pisać książki mające utwierdzić katolików w dobrem i dopomódz im w walce ze złem. Z czasem 47 dzieł najrozmaitszej treści wyszło z pod jego pióra, a dobro, jakie sprawiły, jest nieocenione.

Wasz tytuł Pomocników łączy Was z ks. Bosko i jego synami w tem dziele. Użyjcie wszystkich sił, by unicestwić skutki złej prasy. Rugujcie każdą podejrzaną książkę, każdą niebezpieczną lekturę z domu swych rodziców, poddanych, krewnych, przyjaciół, znajomych i ze stowarzyszeń.

Jakże starannie usuwamy z ciała wszystko, coby mu szkodzić mogło! Czemybyśmy nie mieli uczynić tego dla duszy, by uchronić ją od zatrucia? Nie zadowalajcie się jednak negatywną tylko pracą niszczenia złych książek, lecz starajcie się zostąpić je dobremi.

Minęła chwila protestowania przeciw niegodziwości czasu, przeciw wzmagającemu się złemu. Bóg, jak wiecie, daje zawsze odpowiednie środki przeciw złemu, a przeciw złej prasie każe Wam użyć dobrej lektury. Czytajcie i każcie czytać dobre książki, dzienniki, broszury; zakładajcie, jeśli możecie, lub wspierajcie wszelkimi możliwymi środkami dobrą prasę. Tylu duszom zapewni to zbawienie. *Da mihi animas* — daj mi dusze, oto nasze, a tem samem Wasze hasło; ono nakłada na nas ten wielki i ważny obowiązek.

Jeszcze o podróży X. Michała Rny na Wschodzie.

(*List ks. Klemensa Bretto*).

Nad morzem Martwem i w Jafie.

Wieczorem 7. kwietnia, nasz najczcig. X. Generał udał się ze Mszą św. do Sióstr, które posiadają śliczny kościółek przy t. z. *Hortus conclusus*, sławnym w Księgach Świętych. Tam go oczekiwał najdostojniejszy arcypasterz montewidejski ks. arcybiskup Maryan Soler, za którego staraniem owo miejsce historyczne stało się własnością Sióstr zakonnych. Łatwo sobie wyobrazić, jaka zobopólna radość przejęła Jego Arcybiskupią Mość i najczcigod. ks. Generała z powodu tak szczęśliwego spotkania się. Atoli zaraz po mszy św. musieliśmy zawrócić do Betleem a stamtąd do Jerozolimy, by udać się w stronę Morza Martwego.

Morze Martwe.

Ileżto wspomnień wiąże się z tem miejscem! Wychodząc z miasta, przechodziliśmy koło bramy damasceńskiej, a stamtąd mieliśmy sposobność przyjrzeć się *grocie Jeremiasza, dolinie Józafata z potokiem Cedron, Górze Oliwnej, grobowi Matki Boskiej, ogrodowi Getsemańskiemu, grobowi Absalona* i t. z. górze *Zgorszenia*, na której Salomon kazał wznieść świątynię bałwanom. Przeszliśmy obok *źródła Apostołów* i t. z. *gospody Dobrego Samarytanina*, przypominającej znaną przypowieść ewangeliczną; spostrzegliśmy *konwent św. Jerzego*, rozwieszony, niby gniazdo jaskółek na stoku góry a zamieszkały przez zakonników wyznania greckiego, dalej *górę Kwarantanny*, aż nareszcie zeszliśmy w dolinę nadjordańską w pobliżu Jerycha. Zboczyliśmy w prawo, by wpierw zwiedzić *Morze Martwe*. Nam się zdawało, żeśmy byli już na najniższym punkcie doliny, a tymczasem musieliśmy się jeszcze długo spuszczać, zanim stanęliśmy nad brzegiem jeziora. Ks. Rua popatrzywszy chwilkę na nie, i ze wzrokiem utkwionym w wody, pokrywające miejsca, gdzie niegdyś pięć miast stało, a wszystkie zniszczone zostały, bo nie znalazło się w nich nawet dziesięciu sprawiedliwych, ukląkł i żarliwie się modlił. Godzina była późna; mimo to wsiadłszy do powozu, pojechaliśmy zwiedzić miejsce Jordanu, gdzie, według podania, Pan Jezus miał być ochrzczony przez św. Jana, a stąd zawróciliśmy prędko w stronę Jerycha, gdzieśmy na noc stanęli w gospodzie *Belle Vue*, którą równocześnie zamieszkiwał także Patryarcha jerozolimski. Nazajutrz, pod przewodnictwem jednego z byłych wychowanków schroniska betleemskiego zwiedziliśmy ruiny da-

*

wnego Jerycha; na obiad zasiedliśmy do sołu razem z najdostojniejszym Patryarchą, który tego poranku zwiedził był Morze Martwe, następnie puściliśmy się z powrotem do Jerusalem. Pochód to bardzo uciążliwy; chodzi tu bowiem o odzyskanie wyżyny, z której zstąpiliśmy dnia poprzedniego, gdyż Morze Martwe leży 394 m. poniżej morza Śródziemnego. Po drodze spotkaliśmy pierwszego dragomana konsula hiszpańskiego z Damaszku, którego mieliśmy za towarzysza podróży od Damaszku aż do Tyberyady, a był bardzo zadowolony z naszego spotkania; mieliśmy również szczęście spotkać sufragana Jego Em. X. kardynała Morana, arcybiskupa sydnejskiego w Australji. Opowiadał on ks. Generałowi o wielkiem przywiązaniu Jego Eminencyi do synów ks. Bosko i jego wielkiem pragnieniu, aby mieć ich w swojej dyecezji. Wróciliśmy do Jeruzalem o godzinie 7mej wieczorem.

W Jafie.

Rankiem dnia 9tego kwietnia wyjechał X. Rua do Jafy. Pociąg z Jeruzalem do Jafy jedzie 3 godziny. W Jafie na dworcu oczekiwali go wraz z ks. Dyrektorem wicekonsul włoski z bratem swoim wicekonsulem portugalskim, którym towarzyszyli dragomani i jańczarzy, reprezentant gubernatora Ziemi Świętej ze swym dragomanem, cały klasztor Maronitów, kapelan włoskich szkół żeńskich, kapelan szkół francuskich, matka przełożona Sióstr Franciszkanek kierujących szkołą żeńską, pan Roch Bey, naczelnik gminy łacińskiej, pan hrabia Talam Bey, pan Andrzej Mantura, agent Lloydu austryackiego, aptekarz Izaak i liczna reprezentacja kolonii włoskiej. Z wyjątkiem Sióstr, wszyscy towarzyszyli ks. Generałowi aż do Domu Salezjańskiego, gdzie chłopcy szkolni czekali niecierpliwie na jego powitanie. Po południu przyjmował liczne wizyty; sam też wyszedł, aby z swej strony złożyć wizytę niektórym osobistościom, n. p. wicekonsulowi włoskiemu, w którego towarzystwie udał się na pokład parowca „*Curtatone*", aby uczcić jego kapitana hr. Triangiego z Maderno, który go przyjmował z wielkim szacunkiem.

Nazajutrz 10tego kwietnia celebrował u Sióstr Franciszkanek, których wychowanice poświęciły mu pięknie udały wieczorek deklamacyjny, a ulegając życzeniu pana Mantury, był u niego na obiedzie, poczem przyjmował i oddawał wizyty. Wracając do Zakładu, został powitany przez chłopców tureckich, należących do pierwszorzędnych rodzin miasta, przez wychowanków naszych szkół wieczornych i przez wielu dawnych wychowanków Schroniska betleemskiego.

Ku czci ks. Bosko.

Dzień 11ty kwietnia był przeznaczony do wynurzenia radości z powodu ogłoszenia ks. Bosko wielebnym sługą Bożym.

Rano ukochany nasz Przełożony odśpiewał sumę z asystą. Byli na niej obecni wicekonsul włoski pan Alonso w uniformie i w towarzystwie swojej dostojnej małżonki, z orszakiem dragomanów; pan hrabia Triangi, kapitan parowca *Curtatone*, z jednym oficerem w galowym uniformie, Przełożeni zakładów męskich i żeńskich łacińskich, grecko-katolickich, maronickich i kwiat mieszczaństwa jafańskiego. Z ogólnym podziwem wykonano mszę „*Benedicamus*" maestra Perosego.

Po mszy św. odbyło się posiedzenie muzyczno-deklamacyjne. Mowę okolicznościową wygłosił w języku arabskim pan Alonso, a inspektor szkół tureckich pan Szeik Fad el Rubit pod wpływem głębokiego wrażenia z tego co słyszał i widział, zaimprowizował wspaniałą mowę pochwalną pod adresem dzieł Salezjańskich. Ks. Rua podziękował wszystkim z właściwą sobie serdecznością, a pan kapitan statku *Curtatone* zakończył posiedzenie podniosłem przemówieniem, sławiąc ojczyznę, religię i zbawienną działalność zakonników na Wschodzie.

Ponownie w Betleem.

Kochany nasz przełożony odjechał zaraz po obiedzie, odprowadzony na dworzec przez pana wicekonsula, za którego sprawą, mimo przepełnienia pociągu, mógł otrzymać osobny przedział. Przybyło na dworzec wiele innych osobistości, aby mu złożyć ukłony, jako to Dr. Sanabini, p. Kalis i Bracia Szkół Chrześcjańskich. Na dworcu w Deir-Aban czekało na niego kilku naszych spółbraci przybyłych z Beit-Dżemal, aby uczcić swego Przełożonego, w Jerozolimie zaś wielu z miejscowego zakładu; lecz nie zatrzymując się nigdzie, podążył ks. Rua do Betleem, gdzie z okazji niedzieli Palmowej dokonał w naszym kościele całego obrządku poświęcenia palm. Postanowił bowiem odprawić wszystkie obrządki Wielkiego Tygodnia w Betleem, wcale przez to nie wykluczając uczestniczenia w głównych obrzędach, jakie się w tych dniach odprawiały w Jerozolimie.

Podczas Wielkiego Tygodnia.

W poniedziałek zwiedzili szkoły i nasz Zakład p. hr. Senni i kapitan państwowego statku Curtatone wraz z kilku oficerami, odosząc stąd jak najlepsze wrażenie. Tak samo w następnych dniach nie omieszkał ks. Rua oddać kilka bardzo pożądanych wizyt.

Na Górze Oliwnej.

W środę odprawił X. Rua mszę św. w Jerozolimie dla chłopców, którzy właśnie kończyli rekolekcye, jakie się zwykły odprawiać po naszych domach w połowie roku szkolnego. Tutaj odwiedził go najprzew. ks. biskup Alojzy Piccardo, sufragan Patrjarchy jerozolimskiego, poczem ks. Rua udał się na Górę Oliwną. Zwiedziliśmy miejsce *Wniebowstąpienia* t. j. ten sam punkt, z którego Pan Jezus, błogosławiąc Apostołom, podniósł się do nieba; jest ono dziś pokryte meczetem tureckim; kościół *modlitwy Pańskiej*, gdzie, według podania, P. Jezus miał nauczyć przedziwnej modlitwy Ojcze nasz, którą można czytać prawie we wszystkich językach na murach klasztoru stojącego przed kościołem; małą kapliczkę podziemną, gdzie Apostołowie mieli ułożyć *Credo;* miejsce *Dominus flevit*, gdzie P. Jezus zapłakał na widok miasta

Jerozolimy; *ogród Oliwny*, dokąd zwykł był udawać się wraz z apostołami na modlitwę i gdzie został pojmany dzień przed śmiercią swoją; *grotę konania, grób Magdaleny itd.*

Wracając do miasta, doznał ks. Rua mocnego wzruszenia na widok kilku trędowatych, którzy prawie doszczętnie wycieńczeni chorobą, prosili przechodniów o jałmużnę. Chciał również zatrzymać się w Zakładzie Białych Ojców, w którego obrębie znajduje się *Sadzawka*. Znalazłszy ją zamkniętą i zwróciwszy uwagę jednemu z Ojców na to, iż kapłan, który ją pragnie obejrzeć, to następca ks. Bosko, wnet zobaczyliśmy wychodzącego ku nam samego ks. Prowincjała na czele kilku Ojców, a za nimi wszystkich alumnów małego i wielkiego Seminarjum, którzy chwyciwszy za instrumenta, uderzyli w harmonijne melodye, aby uczcić obecność następcy ks. Bosko. Nasz Generał przypomniał okoliczności, śród których kardynał Lavigerie, założyciel tych poczciwych zakonników, poznał się z ks. Bosko; podziękował im za wszystko, a na ich prośby także ich pobłogosławił; następnie zwiedził drobiazgowo każdą pamiąteczkę tego historycznego miejsca.

U św. Jana na Górze.

Wróciwszy do domu (było to o 2giej po południu) zjedliśmy na prędce obiad, aby módz zdążyć na czarną jutrznię do bazyliki Grobu Pańskiego i tegoż wieczora jeszcze wróciliśmy do Betleem, gdzie nazajutrz na zakończenie rekolekcji ks. Rua miał sumę i rozdał komunię św. wielkanocną. Spełniwszy również obrządek umywania nóg, wrócił do Jerozolimy, skąd podążył w pobożnej pielgrzymce aż do św. Jana na Górze, miejsca najbardziej uroczego w całej Palestynie.

Wioska ta wznosi się na małym pagórku jakie 4 mile od Jerozolimy i jest ojczyzną św. Jana Chrzciciela. Zwiedziliśmy kościół zwany *Benedictus*, wzniesiony na miejscu, gdzie św. Zacharjasz po odzyskaniu mowy zanucił hymn: *Benedictus Dominus Deus Israel*. Kościół posiada trzy nawaty. Na początku lewej znajdują się schody, prowadzące do groty, która odpowiada dawnemu mieszkaniu św. Zacharjasza, w którem przyszedł na świat Oznajmiciel P. Jezusa. Istotnie na postumencie ołtarza widnieje napis: *Hic Praecursor Domini natus est*, tutaj się urodził Oznajmiciel Jezusa Chrystusa. Widzieliśmy również *źródło P. Maryi*, gdzie, jak niesie podanie, Najśw. Panna czerpała wodę w czasie swego pobytu u św. Elżbiety; potem zwiedziliśmy *świątynię Nawiedzenia* czyli *Magnificat*, gdzie Matka Boska przybywszy odwiedzić św. Elżbietę i usłyszawszy z ust jej pozdrowienie prorocze, w świętym zachwycie zanuciła hymn, który w każdą niedzielę i święto



Najprzew. X. Michał Rua.

jest punktem kulminacyjnym nabożeństwa nieszpornego. Dzięki wykwintnej uprzejmości OO. Franciszkanów, obejrzeliśmy dokładnie wspaniałą panoramę okolicy i z duszą przepełnioną tysiącem innych wspomnień wróciliśmy do Jerozolimy i Betleem.

Droga Krzyżowa w Jeruzalem.

Nazajutrz, w pamiętny dzień Wielkiego Piątku, ks. Rua po odprawieniu rannego obrzędu podążył do Jerozolimy, aby o godź. pierwszej stanąć na

miejscu stacji pierwszej i wziąć udział w *Drodze Krzyżowej*, która odbywa się corocznie po drogach jerozolimskich trzymając się o ile możności bolesnej drogi, którą przebył Boski nasz Zbawiciel. Widok to naprawdę rozrzewniający!

Tysiące i tysiące pielgrzymów chrześcijańskich, nie zawsze katolickich, postępują za Ojcem Franciszkaninem, który przy każdej stacyi zwraca się z pobożnem przemówieniem do wiernych pątników. Na nieszczęście obrząd bywa zwykle zakłócany przez Turków, którzy w ten sposób chcą okazać swoją władzę nad temi miejscami; istotnie, zaledwieśmy stanęli przed podwórkiem tureckiem, gdzie się znajduje pierwsza Stacja, aliści defilada tureckiego wojska z nabitymi karabinami, z muzyką i chorągwiami zmusiła nas do ściśnięcia się wzdłuż murów. To powtórzyło się przy kilku innych stacjach, ale na szczęście obeszło się bez żadnego przykrego wypadku. Było z nami kilku innych współbraci, ale wszyscy musieli się dobrze spocić, aby swojemi ramiony zasłonić Przełożonego przed natłokiem. Zadanie to stało się nadzwyczaj trudne koło bazyliki Grobu św., gdzie się znajdują ostatnie stacje, ale mimo wszystkiego zdołaliśmy utrzymać naszego ukochanego Ojca zawsze w pobliżu Ojca Franciszkanina sprawującego pobożne nabożeństwo.

Komunia wielkanocna w Betleem. — Odjazd.

Po ukończonem nabożeństwie ks. Rua udał się z wizytą pożegnalną do najczcigodniejszego Patrjarchy, obawiając się, iż w następnych dwóch dniach nie znajdzie do tego tak sposobnej pory; zaś wczesnym rankiem w Wielką Sobotę wrócił do Betleem, gdzie po rannych obrzędach kościelnych odebrał życzenia wielkanocne od poczciwych i niezapomnianych sierotek. Tamże odśpiewał sumę w samą uroczystość wielkanocną, a wieczorem był obecny na skromnem przedstawieniu pożegnalnem, na które przybyło także wiele osób z miasta. Wszyscy oklaskiwali entuzjastycznie małych aktorów, którzy świetnie odegrali dość trudny melodramat.

W poniedziałek wielkanocny opuściliśmy na zawsze Betleem a potem Jerozolimę, odprowadzeni prawie przez wszystkich wychowanków i współbraci aż na dworzec kolejowy w Jerozolimie, gdzie ks. Rua po ukłonach odebranych ze strony kanclerza konsula włoskiego, podziękował jeszcze raz za objawy przywiązania i wstąpił do pociągu, unosząc z sobą drogie pamiątki z tych świętych miejsc. Na dworcu w Bitir spotkaliśmy wychowanków i współbraci z Kremizanu, którzy przybiegli jeszcze raz się pożegnać z ks. Ruą. W tym samym celu czekali na nas na dworcu Deir-Aban wszyscy wychowankowie i przełożeni z Beit-Dżemalu. Nie potrzeba dodawać, że wszystkie godziny spędzone w pociągu na drodze do Jafy jak i na każdej innej wędrówce po krainie świętej, bywały wypełniane przywodzeniem sobie na pamięć tysiącznych innych pamiątek.

Na stacji w Jafie czekał na nas ponownie p. wicekonsul Alonso z wielu zasłużonemi osobistościami, a między temi zacna pani Franciszka Kaffari, żona agenta żeglugi parowej Kediwego, która wymogła na naszym Przełożonym, że poszedł udzielić błogosławieństwa Marji Wspomożycielki do jej mieszkania.

Statkiem ku Aleksandrji.

Po południu udaliśmy się na pokład w towarzystwie p. wicekonsula, p. kierownika szkoły włoskiej i innych naszych przyjaciół i wielbicieli. Morze było spokojne. Wsiedli na statek wraz z nami inspektor (prowincjał) ks. Kardano, który nas oprowadzał przez całą drogę począwszy od Konstantynopola, ks. Gatti, dyrektor Schroniska betleemskiego i Mons. Hieronim de Metriades. Parowiec był przepełniony; mimo to kapitan był tak uprzejmy, iż dla nas kazał przygotować łóżka w wielkiej sali, zaś dla ks. Ruy znalazła się wygodna kabina. Mieliśmy szczęście spotkać na pokładzie ponownie Sufragana sydnejskiego (Sidney, stolica Australji), któregośmy już poznali na przejezdnem z Jerychu do Jerozolimy.

Rano zbudziliśmy się przed Port-Saidem. Widok wspaniały! Schodzimy do OO. Franciszkanów na celebrę; następnie ks. Rua odwiedza konsula włoskiego i wsiadamy do pociągów: ks. Gatti i piszący w kierunku Kairu, ks. Rua zaś prosto do *Aleksandrji*.

(C. d. n.).



Zdania i myśli ks. Bosko.

1. Pychy należy bardzo unikać; pyszny jest wstrętny i w pogardzie u ludzi.

2. Powinniśmy z rąk Boga przyjmować tak dobro, jak zło; dlatego nie wyśmiewaj nikogo z powodu wad ciała, albo umysłu. To, co dziś wyśmiewacie u innych, może z dopuszczenia Bożego was jutro spotkać.

3. Posłuszeństwo wasze niech będzie skore, pokorne i wesołe, bez uwag, bez wymawiania się od tego, co wam rozkazują. Słuchajcie, choćby rzecz rozkazana nie była wam do smaku.

4. Gdy nieprzyjaciel dusz chce kogoś zwieść i przyprowadzić do pogwałcenia przykazań Bożych, zaczyna od kuszenia do zaniedbywania rzeczy drobnych, potem ważniejszych; potem już łatwo przywiedzie do pogwałcenia prawa Bożego, według słów Ducha św.: „Kto gardzi małemi rzeczami, pomału upadnie."

5. Pamiętajcie, że każdy chrześcijanin jest obowiązany dawać dobry przykład swemu bliźniemu i że żadne kazanie nie jest tak skutecznem, jak dobry przykład.

6. Bądźcie chętni wszystkim, bądźcie pobłażliwymi na ułomności innych, wstrzymujcie się od przezwisk, nie mówcie, ani czyńcie nigdy nic takiego, coby i wam przykrość sprawiło.

7. Jeśli pytasz o fakt, któryby dowodził, do jakiego stopnia doszło miłosierdzie Boże, wznieś wzrok na krucyfiks, a ujrzysz Syna Bożego umarłego za nas, t. j. za nasze grzechy, dla zbawienia dusz naszych.

8. Skutki spowiedzi znać po poprawie życia. Pan Jezus mówi w Ewangelji, że dobroć drzewa poznaje się po owocach; taksamo z poprawy życia okaże się jakość naszych spowiedzi.

9. Bóg nas widzi, widzi wszystkie nasze czyny przeszłe, widzi, co obecnie czynimy, widzi nasze działanie, słowa i myśli, przenika miejsca najciemniejsze i najskrytsze. Dlatego ile razy jesteśmy kuszeni do niegodziwości, do złych rozmów, do myśli przewrotnych, powiedzmy z Patrjarchą Józefem; „Jak mogę tę złość uczynić przeciw Bogu memu?"

10. Czystość i porządek zewnętrzny dowodzą czystości i niewinności duszy; ale unikajcie głupiej pychy świecenia piękną powierzchownością.

11. Nie krytykujcie cudzych uczynków; nie wynoście się dla swoich zdolności lub jakiej cnoty. Przyjmujcie obojętnie naganę i pochwałę, upokarzając się wobec Boga, gdy wam czynią jaką wymówkę.

12. Nie będzie miał nigdy prawdziwej miłości ten, co nie chce znosić wad innych ludzi. Niema człowieka na tej ziemi, nawet najcnotliwszego, któryby nie miał swoich wad. Jeśli więc chcemy, by inni znosili nasze wady, znośmy i my wady innych, a tak „wypełnimy zakon Jezusa Chrystusa," jak pisze św. Paweł.

13. Strzeżcie się zgorszenia. Ktoby słowem, rozmową, czynem dawał zgorszenie, nie jest przyjacielem, jest zabójcą duszy.

14. Jest przepisem skromności chrześcijańskiej zachowywać się odpowiednio przy stole. Pamiętajmy, że pokarm jest nam dany nie tylko dla zadowolenia smaku, ale dla utrzymania w zdrowiu i czerstwości ciała, które jest narzędziem materjalnem do zdobycia szczęścia dla duszy.

15. W rozmowie i obcowaniu bądźcie uprzejmi ze wszystkimi, a szczególniej z tymi, którzy w przeszłości was obrazili lub obecnie mają do was urazę.

16. Zrozumiej moc tych trzech wyrazów: *Bóg, teraźniejszość, wieczność.* Bóg, który cię widzi, teraźniejszość, która ci się wymyka, wieczność, która cię czeka. Bóg, który jest wszystkiem, teraźniejszość, która jest niczem, wieczność, która odbiera, lub daje wszystko. Bóg, któremu tak źle służysz, teraźniejszość, z której tak mało korzystasz. wieczność, którą tak lekkomyślnie narażasz.

17. Jaki rachunek zdadzą Bogu ci, którzy wyrzucają na marne pieniądze, zamiast je dać ubogiemu!

18. Może zyskać wielkie odpusty, kto towarzyszy pogrzebom, lub kto na dzwonienie po nieboszczyku odmówi trzy razy „Wieczne odpoczywanie" za duszę, którą Bóg do wieczności powołał.

19. Unikajcie wszelkiego czynu, ruchu i wyrazu, któryby trącił grubjańshwem; starajcie się pozbyć zawczasu wad temperamentu i uformować w sobie usposobienie zgodne ze zasadami skromności chrześcijańskiej.

20. Czyńmy wszystkim dobrze, nikomu źle.

21. Wszyscy ci, którzy pragną doświadczyć na sobie łask Marji Wspomożycielki, niech wspierają misje, a mogą być pewni, że łaski otrzymają.

22. Trzeba się modlić z wiarą, ale z wiarą żywą.

23. Gdy się odzywa dzwonek za konających, wielkie odpusty może zyskać ten, kto wszedłszy do kościoła, pomodli się za umierającego, lub nie mogąc iść do kościoła, zmówi tam, gdzie w tej chwili jest „Ojcze nasz" i „Zdrowaś Marjo," by Bóg dopomógł choremu umrzeć w stanie łaski.

24. Nie jesteś na ziemi po to, by się weselić, wzbogacić się, pić i spać, jak zwierzę; cel twego istnienia jest o wiele szlachetniejszy i wyższy: masz kochać i służyć Bogu i zbawić duszę swoją.

25. Nie naśladujcie tych ludzi nieszczęśliwych i zbałamuconych, którzy powiadają: „Co tam! zgrzeszę, a potem się wyspowiadam." Wszyscy mieszkańcy piekła mieli nadzieję, że się wyspowiadają, a jednak zostali potępieni na wieki. Skąd wiesz, że będziesz miał czas się wyspowiadać? Kto cię zapewnił, że nie umrzesz zaraz po grzechu i że dusza twoja do piekła nie wpadnie?

26. Zalecam wam skromność wzroku; oczy, to okna, przez które szatan wprowadza grzech do serca.

27. Katechizmy zalecają częstą komunję św.; św. Filip Nerjusz polecał przyjmować ją co tydzień i częściej.

Sobór Trydencki mówi wyraźnie, że pragnie bardzo, by każdy wierny chrześcijanin, gdy idzie na mszę św., przystąpił również do komunii św. A ta komunia niech nie będzie tylko duchowna, ale i sakramentalna.

28. Chcę wam zwrócić uwagę na straszne sidła, w które szatan łowi tylu chrześcijan. Mianowicie uczą się oni religji, ale jej nie praktykują. Wiedzą, że są od Boga stworzeni, aby Go kochać i jemu służyć, a tymczasem zdaje się, jakoby nic innego nie pragnęli, prócz swojej wiecznej zguby.

29. Dziękczynienie po Komunji św. powinno trwać conajmniej kwadrans.

30. Zbawiciel takiemi słowami zachęca nas do dawania jałmużny: „Za każdy kubek zimnej wody, dany ubogiemu, Ojciec niebieski was wynagrodzi. Wszystko, co dacie ubogim, będzie wam stokrotnie wynagrodzone w tem życiu i szczęśliwą wiecznością w przyszłem.

31. O wieczności! O bezdenna przepaści! O morze bezbrzeżne! O dolino bez wyjścia! Kto myśląc o tobie, nie przestraszy się? O przeklęty grzechu! Co za straszną karę przygotowujesz temu, kto cię popełni. O, już więcej grzeszyć nie będę!



* *

MISJE SALEZJAŃSKIE

MATTO GROSSO (Brazylja).

Muzycy Osady Najśw. Serca na wystawie w Rio Janeiro.
Dwie Indjanki zamordowane przez Kajapów. — Złocą się łany a niema żniwiarzy.

Kujaba, 21. lutego 1908 r.

Najczcigodniejszy Ojcze!

Nie przypuszczałem, że po ostatnich tak interesujących sprawozdaniach, przesłanych najczcigodniejszemu Ojcu przez naszego gorliwego X. Inspektora, będę tak prędko spowodowany chwycić ponownie za pióro. Ktoby się był spodziewał, że nasz ukochany X. Inspektor uzyska od rządu bezpłatne wysłanie naszych małych muzyków ni mniej ni więcej jak na wystawę do Rio Janeiro? A jednak stało się to w jednej chwili! Drogi nasz X. Malan rzucił tylko myśl a patrjotyczny rząd pochwycił ją z entuzjazmem, oświadczając, że bierze na siebie koszta przeprawy. I cóż wtedy czyni X. Inspektor? Oto odstępuje majstra krawieckiego a zarazem dzielnego kapelmistrza z Zakładu kujabskiego dla misji Najśw. Serca, aby natychmiast pobrał miary na ubrania mundurowe dla wszystkich muzyków, a jednocześnie wyćwiczył ich cokolwiek w ich repertuarze, dając mu nadto do pomocy jednego kleryka.

Wiadomość o tem przyjęli chłopcy z szalonymi objawami radości; wzięli się też do rzeczy z entuzjazmem i zostali zwolnieni od wszelkiego innego zajęcia, aby tylko pilnować nauki, muzyki i gimnastyki. X. Malan miał przybyć po nich w kwietniu.

Najśw. Serce Pana Jezusa błogosławiło całej sprawie, gdy oto niespodziany cios zagrażał nietylko ją popsuć, ale nawet wyludnić całą osadę misyjną. Jeżeli sobie przypominasz, najczcigodniejszy Ojcze, zeszłego roku okrutn Kajapowie, nieprzebłagani wrogowie naszych Bororów, zabili nam muła na pastwiskach naszej Osady. Otóż w tym roku powrócili znowu — i zabili dwie indjanki. Jest zwyczajem niewiast Indjańskich udawać się do lasu celem zbierania owocu, podczas gdy mężczyźni oddają się polowaniu i rybołówstwu; wracają zaś zazwyczaj przed nocą do domu, a jeśli zamyślają zapuszczać się głębiej, to czynią to tylko w towarzystwie całej rodziny.

Tym razem zaś wyruszyły tylko same, a jednak wieczorem nie było ich z powrotem; rodzina spędziła noc i następny dzień w dręczącej niepewności, inni zaś widząc, że nie powracają, poczynają domyślać się zasadzki i rozlatują się na różne strony, aby odnaleźć nieszczęśliwe kobiety, które też istotnie znaleziono, ale o zgrozo! bez życia, leżące w kałuży własnej krwi. Było to w tej części lasu, która jest nad rzeką Rio das Mortes, gdzie koczują Kajapowie. Na miejscu morderstwa leżały cztery ogromne kosztury, których okrutni Indjanie używają zwykle do walki z najdzikszemi zwierzętami. Stało się to w oddaleniu o jakie 10 km. od Osady misyjnej.

Indjanie hurmem przypadli do misji, aby dać znać o zajściu. Wyobraź sobie, najukochańszy Ojcze, jakie wrażenie musiała uczynić ta wiadomość w Osadzie, złożonej z tych dzikich natur tak skłonnych do wybuchów zemsty! Zdawało się, że nastąpi koniec świata. W oka mgnieniu zawrzało w Osadzie jak w kotle: zewsząd rozlegały się krzyki, płacz i narzekania. X. Kolbakini, który się już znajduje na mojem miejscu jako dyrektor, widząc, że położenie staje się groźnem, starał się wszelkimi sposobami uspokoić umysły, i wziąwszy z sobą jednego spółbrata, poszedł na miejsce wypadku wraz z kilkoma Indjanami. Indjanie, po zwyczajnych swoich ceremoniach obwinęli ciała w skóry i chociaż już wychodził z nich fetor, przynieśli je do Osady. Tylko ten, co już był świadkiem tego rodzaju czarnych i rozdzierających ceremonii, może sobie wyobrazić, co się działo w aldei za pojawieniem się ponurego orszaku. Rozległy się rozdzierające krzyki i narzekania; jedni rwą sobie włosy na głowie, drudzy krwawią się ostrymi kamieniami i sączącą z ran krwią broczą trupy. Zbiegowisko było ogromne. Niektórzy chcą się puścić za zbrodniarzami, większość atoli chce porzucić Osadę i udać się na południe, gdzie koczuje cały szczep bororski. Misji groziła prawdziwa katastrofa.

Nie potrzeba nadmieniać, że nasi nie szczędzili

środków, żeby przywrócić spokój. Biedny X. Dyrektor kazał natychmiast telegrafować do X. Malana o smutnem zajściu, które i nam wydało się tak groźnem, że mogło popsuć całą sprawę. Więc X. Malan odpowiedział bezzwłocznie, że sam przybędzie jak najprędzej na miejsce katastrofy, tymczasem zaś wyśle kilku żołnierzy, którzy pomogą Indjanom ścigać nieprzyjaciół. Dzięki Bogu ta wiadomość przywróciła trochę spokoju.

Ks. Malan istotnie udał się do prezydenta rzeczypospolitej, aby mu dać znać o całem zajściu. Ten szlachetny mąż uznał, że było rzeczą nieodzowną posłać mały hufiec żołnierzy ku obronie osady misyjnej, a ponieważ wyprawa z Kujaby zajęłaby co najmniej 2 tygodnie czasu, postanowił zarządzić telegraficznie, aby wysłano kilku zbrojnych żołnierzy z gwardji narodowej, stojącej w Araguaia; istotnie pięć dni potem stanęło w Osadzie 10 uzbrojonych żołnierzy. Widok ich usposobił Indjan do jak najlepszych myśli; prawie jak jeden mąż stanęli w pełnej zbroi do wyprawy i z wielką odwagą ruszyli wraz z żołnierzami w pogoń za Kajapami. Ale prędko się przekonali, że ci po dokonanem morderstwie pierzchnęli w głąb lasów ciągnących się na północ. Gdy się umysły uspokoiły, żołnierze odjechali, zostawiając w dzikusach najlepsze wrażenie. Poczciwe Borory przekonały się, że trzymając się misjonarzy, nietylko nie grozi im prześladowanie ze strony cywilizowanych, ale zyskują nawet opiekę rządową. Dzięki Bogu!

Obecnie wszystko jest w porządku; atoli X. inspektor Malan, który, jak to powiedziałem wyżej, zamierzał przybyć po małych muzyków dopiero w kwietniu, aby uniknąć zawikłań, udał się już pod koniec stycznia zaopatrzony w ubrania, koce, narzędzia rolnicze, różne żelastwa... itd. do misji, zostawiając mi zlecenie, abym ja zdał sprawę z całego tego zajścia. I tak przy pomocy Bożej, gdy Ty, najukochańszy Ojcze, będziesz czytał te słowa, nasi muzycy będą już może w drodze.

Jak wiadomo, pod koniec lipca r. z. musiałem opuścić osadę Najśw. Serca, aby towarzyszyć X. Malanowi w jego podróży wywiadowczej, mającej na celu wyszukanie najodpowiedniejszego punktu pod czwartą osadę śród głównego szczepu. A chociaż oddawna tego pragnąłem, bo szczep to najludniejszy ze wszystkich, jak o tem pisałem kilka lat temu, to jednak nie mogłem ukryć mojego smutku z powodu tego rozłączenia. Zważywszy atoli, że opuszczam osadę w chwili, gdy już została wdrożoną do tak regularnego trybu życia, że nie są już tak często potrzebne wielkie poświęcenia i zaparcie się, jak to bywało w jej początkach, kiedy byliśmy igraszką wichrów leśnych i pozbawieni rzeczy niezbędnych do życia, czułem w sercu uczucie bezgranicznej wdzięczności dla Najśw. Serca Jezusowego, które raczyło w tak widoczny sposób pobłogosławić naszej misji.... Myśli moje lautywały mianowicie cztery lata wstecz, kiedy to do misji zawitało 140 Indjan bez najmniejszego łachmana, coby ich pokrywał i widziałem chłopców ubarwionych urukułem i innemi farbami, z głową okoloną piórami... tych chłopców, zesłanych nam przez Najsł. Serce, aby ich



KUYABÁ (Matto Grosso). — X. Malan i trzech młodych Bororów, wychowanków kolegjum św. Gonzala.

zamienić na Jego gorliwych czcicieli, a którzy istotnie w ciągu trzech lat zostali wszyscy odrodzeni w wodzie chrztu św. i wzmocnieni Chlebem Anielskim. Rozważając nad zupełnem przeobrażeniem ich duszy, jakiego udało nam się dokonać w tak krótkim czasie, wzruszałem się aż do łez, a w sercu rodziła się nadzieja, że to samo nastąpi z setkami innych chłopców, znajdujących się w takiem samem położeniu jak niegdyś tamci. Zaprawdę wszystko każe przypuszczać, że niezadługo cały szczep Koroadów zamieni się w państwo Chrystusowe, a wszystkie «Bayitos», istne świątynie szatana, zostaną zamie-

nione na kościoły Boga żywego i na ołtarze świętych Pańskich. Tak zdaje się być istotnie. Jak nasz wielebny Ojciec Ks. Bosko, mówiąc o świątyni Marji Wspomożycielki, zwykł był mawiać, że Marja zbudowała ją sobie i że stąd wyjdzie wielu pracowników ewangelicznych, tak zdaje mi się, że z Osady Najśw. Serca, którą Panu Jezusowi upodobało się zbudować, wyjdą nowi pracownicy ewangeliczni, powołani z łona tegoż samego szczepu, aby nawrócić wszystkich swoich współplemieńców.

Takie i tym podobne myśli zajmowały nas podczas całej podróży wywiadowczej, o której nie potrzebuję dłużej się rozwodzić, bo uczynił to dostatecznie X. Malan. Nie mogę atoli pominąć milczeniem jednego zdarzenia, stwierdzającego coraz więcej powyższe przypuszczenia.

W innej wyprawie wywiadowczej, na której w oznaczonym dniu nie spotkaliśmy oczekiwanych Indjan, zostaliśmy nieco rozczarowani. Atoli w miesiąc później dowiedziałem się, że właśnie dnia następnego po naszym odjeździe z powrotem do Kujaby, nadeszło koło ośmdziesięciu Indjan, chcących się z nami zobaczyć i mocno się zmartwili, dowiedziawszy się o naszym odjeździe. A było się czem martwić, bo niektórym z nich, np. kapitanowi Perikoli, zdarzyło się to już raz podczas naszej pierwszej wyprawy. Dowiedziawszy się zaś, że wkrótce będę wracał tą samą drogą wzdłuż osad, zostawili tamże pięciu silnych wyrostków, aby mię zaprowadzili dogodniejszą ścieżką do aldei, których wówczas dla niedostępnych kniei nie mogłem zwiedzić. Chłopcy czekali cały miesiąc, ale zwątpiwszy o moim powrocie, z smutkiem wrócili do swoich. A ja właśnie na trzeci dzień potem przejeżdżałem tamtędy i ku mej największej przykrości dowiedziałem się o całem zajściu. Dowiedziałem się i o tem, że kacyk Perikolo jest za tem, aby wszystkie aldeje, należące do jego szczepu, zgromadzić tam, gdzie zamierzamy urządzić czwartą osadę.

Wracając z owej podróży przez Buryty, gdzie mieszkają krewni owego Melchiora, którego w zeszłym roku zamordowali Indjanie z okolicy św. Wawrzyńca, powiedziano, mi że nie mogą już żyć spokojnie i że pomiędzy tymi, co się sprzysięgli na ich życie, jest także kacyk Perikoli i niejaki Ameryko. Starałem się dodać im serca i uspokoić ich, zapowiadając im, iż pójdę ja sam odwiedzić owych Indjan, aby odwieść ich od nowych pogróżek i zamachów. Tego samego dnia nocowałem z pewnym Indjaninem przybywającym właśnie z owych okolic, a mianowicie z Rio Vermello, gdzie się znajdują ich aldeje, i od niego dowiedziałem się najdrobniejszych szczegółów; on to zapewnił mię po kilka razy, że Indjanie mię oczekują. Nazajutrz dotarłem do naszego nowego domu w Palmeiras, gdziem zasięgnął nowych informacji co do owego Ameryka, którego mi opisano jako człowieka bardzo niebezpiecznego. Dałem mu znać, że chciałbym się z nim rozmówić. Spróbujmy, rzekłem sobie, może odpowie zaproszeniu. Istotnie po kilku dniach zjawił się pokryty starym łachmanem wojskowym, i pytał się o mnie, mówiąc, że miałem mu coś do powiedzenia. Zaledwie mię zobaczył, pobiegł ku mnie, uściskał i powitał po portugalsku. Zapytałem go bez ogródki o sprawę w Burycie. Ale on mię zapewnił, że nie miał w tej sprawie udziału i że nie miał zamiaru zamordowania kogokolwiek. Wtedy zachęciłem go, aby porzucił to życie złe i dzikie i poszedł za przykładem Indjan z osady Najśw. Serca. Na te słowa z twarzą rozpromienioną odrzekł:

„Tak jest, Ojcze! czas już skończyć z tem wszystkiem; trzeba zgromadzić wszystkich moich ludzi i zaprawić ich do pracy. Widzę, że tutaj jest wiele lasu z obfitym owocem i dziczyzną, więc nie zabraknie żywności dla moich Bororów. Trzeba ich tu zwołać i kazać im pilnie pracować; a ty będziesz uczył chłopców i dziewczęta, aby umieli czytać i pisać."

Było to poraz pierwszy, jak mogłem z nim rozmawiać; wyobraź sobie, najczcigodniejszy Ojcze, jakie było moje wzruszenie na te słowa tak zgodne z naszymi ideałami. Potem zażądał koszuli i jadła, w czem go zaspokoiłem i dodałem różne podarki, ale przy pożegnaniu musiałem mu oświadczyć, że na razie nie możemy ich przyjąć do żadnej osady misyjnej, atoli w najbliższym czasie dam mu znać, kiedy będzie mógł przyprowadzić swoich ludzi.

Odkąd powróciłem do Kujaby, miałem u siebie już różne grupy Indjan, co przybyli mię odwiedzić, jako to z okolicy św. Wawrzyńca i z dawnej osady Teresy Chrystyny, obecnie zburzonej, a okazywali największe pragnienie, aby mię znowu zobaczyć po dziesięciu latach. Żalili się, żem ich opuścił i jeszcze dotąd do nich nie powrócił i nadmieniali, że Jndjanie bardzo mię lubią i pamiętają o mnie, ale że ja im już nie sprzyjam, bo nie chcę już wrócić do nich.

Jak widzisz, czcigodny Ojcze, w krótkim czasie miałem sposobność spotkania się z Indjanami z różnych punktów szczepu, a we wszystkich znalazłem tesame uczucia zadowolenia z dobrodziejstw, jakie im przynosi nasza praca. Oby nam P. Bóg miłosierny dopomógł zaspokoić w zupełności ich pragnienia.

Owi trzej chłopcy, których zeszłego roku przyprowadziłem do Zakładu kujabskiego, aby się wyuczyli rzemiosła, postępują naprzód dobrze; brałem ich już nawet po jednemu na moje wycieczki misyjne, które w tych dniach

wypadało mi urządzić i podziwiano ogólnie małych indjaczków tak wykształconych i takiej ogłady, żeby mogli służyć za wzór wielu cywilizowanym.

Miałbym wiele innych rzeczy do powiedzenia, alem może już i tak przestąpił granice umiarkowania. A i z tego com wyłożył, możesz, drogi Ojcze, przekonać się dostatecznie o żyzności naszego pola pracy, o dojrzewającem żniwie i o potrzebie pracowników. Dałby Bóg, żebyśmy nie potrzebowali długo na nich czekać, ani na środki, aby wkrótce i to drugie środowisko Indjan mogło się cieszyć dobrodziejstwmi Odkupienia.

Tymczasem zapewnij, ukochany Ojcze, naszych gorliwych pomocników, iż z wnętrza tych kniei wznoszą się codziennie najgorętsze modły do Dawcy wszelkiego dobra, aby hojnie wynagrodził naszych dobroczyńców.

Nakoniec przyjmij serdeczne pozdrowienia od tych synów puszcz amerykańskich i pozdrów od nas drugich Przełożonych. Pobłogosław nam a w szczególny sposób pobłogosław temu, co całując ręce Twoje, kreśli się Twoim

najzobowiązańszym synem w Chr.

Ks. Jan Balzola,
misjonarz salezjański.

CHINY.

(*List Ks. Alojzego Wersylji*).

Makao, 8. kwietnia 1908 r.

Najczcigodniejszy X. Rua!

Od Objawienia św. Michała Archanioła, Twego niebieskiego patrona, dzieli nas już tylko jeden miesiąc, a jestem przekonany, że z pomiędzy powinszowań, jakie otrzymasz z całego świata, najmilszem ci będzie to, które przezemnie składają Tobie chłopcy Schroniska Niepokalanego Poczęcia.

Ich liczba wzrasta z dnia na dzień. Niedawno temu, dzięki hojnemu wsparciu pewnego poczciwego kapłana z Kostaryki, trzech innych powiększyło zastępy tych, co już się byli schronili pod chorągiew ks. Bosko.

Otóż 2. marca b. r., gdyśmy obchodzili święto św. Franciszka Salezego, owych trzech chłopców dożyło szczęścia odrodzenia duchownego w zbawiennej wodzie chrztu św.

Obchód miał charakter familijny lecz solenny. Dokonał go w naszej kapliczce miejscowy proboszcz przew. X. kanonik Franciszek Ksawery Suarez, który z tej okazji zechciał u nas zabawić prawie cały dzień. Załączona fotografia przedstawia jednego z owych trzech szczęśliwców, tego, który ku czci świątobliwego wychowanka X. Bosko otrzymał imię Dominika Savio. Jeżeli mało mu jest podobny w rysach twarzy, to wielce zbliża się do nieco słodyczą charakteru i prostotą myśli, aczkolwiek jest nieco żywszy od tamtego. Jeżeli go się teraz woła po dawnemu « Leong-Jok », to wprawdzie odpowiada, ale tylko z poczucia dobrego wychowania. Jeżeli natomiast ktoś go zawoła imieniem « Sawio » ha! wtenczas skoczy rozpromieniony, jakby po odebraniu jakiego podarunku.



Chłopczyk chiński « Leong-Jok », któremu na chrzcie dano imię Dominika Sawio.

Także i dwaj inni są poczciwymi chłopcami, choć jeden z nich jest krewnym pewnego osławionego korsarza, który kilka lat temu skończył na szubienicy w Hong-Kong. Drugi, także poczciwa duszyczka, pochodzi z pewnej misji francuskiej w północnych Chinach. Oby ich Pan Bóg zachował w łasce swojej świętej, a nam pomógł wychować ich na dzielnych ludzi!

Razem przeto z innymi swoimi kolegami składają Tobie, najczcigodniejszy Ojcze, najgorętsze życzenia z okazji święta św. Michała, którego imię nosisz. Sami zaś w sposób szczególny błagają i błagać będą zawsze Wodza

wojsk niebieskich, aby najhojniejszemi łaskami wzbogacił Głowę rodziny salezjańskiej. Oby P. Bóg spełnił ich szlachetne życzenia, a Ty Ojcze racz je przyjąć łaskawie wraz z temi, które Ci składa

Twój

Najwierniejszy i najposł.

Ks. Alojzy Wersylja.

MOZAMBIK

(AFRYKA WSCHODNIA).

Wrażenia i wiadomości z podróży.

(*List Ks. Marcina Rekalkatego*).

Mozambik, 13 marca 1908 r.

Najczcigodniejszy X. Rua!

Dotrzymuję danego na wyjezdnem przyrzeczenia. Przybyłem na pole pracy ośm dni temu, tj. szóstego marca i posyłam kilka króciuchnych notatek z podróży oraz z tej odległej krainy.

Z Lisbony wyruszyłem w południe 1.go lutego statkiem «Portugal» z prawdziwym żalem, iż musiałem pożegnać tylu poczciwych współbraci, którzy przez dwa miesiące z górą utrzymywali mię z najwykwintniejszą gościnnością. Kochany X. Inspektor wraz z innymi księżmi odprowadził mię na pokład i nie oddalili się pierwej z portu, dopóki okręt nie zniknął w zakrętach przystani. W miarę jak okręt wymykał się z ujścia Tagu, przed mojemi oczyma przesuwały się jakby w aparacie kinematograficznym widoki Lisbony. Z zachwyceniem przyglądałem się wszystkiemu, bo obrazy znikały szybko jeden za drugim, a z nimi znikała nietylko Lisbona, ale cała Portugala, cała Europa, tylu przyjaciół, wszystko... Obejrzałem się dokoła... wszędzie twarze nieznajome; słyszę same tylko dźwięki niezrozumiałej jeszcze dla mnie mowy.... ale to było właśnie dla mnie bodźcem, aby jej się uczyć chętnie przez 36 dni podróży. Grzeczny nadzwyczaj kapitan okrętowy pozwolił mi celebrować każdodziennie ku niezmiernej radości mojej i ośmiu Sióstr Franciszkanek, zdążających do Bejry niedaleko Mozambiku. Atoli właśnie w dzień Oczyszczenia, t. j. w drugi dzień podróży nie mogłem celebrować wskutek morza nadzwyczaj burzliwego.

W poniedziałek (3. lutego) przybyliśmy do Madeiry. Co za kontrast! Zdawało się, iż burzliwe fale morza pochłoną lada chwila tę perłę wysp portugalskich, a ona tymczasem z uśmiechem swej wiecznej zieloności odpierała napaści burzy. Zeszedłem z pokładu i udałem się do kościoła katedralnego, starożytnej, surowo patrzącej świątyni. Na tej to wyspie dowiedzieliśmy się o potwornej zbrodni podwójnego morderstwa rodziny królewskiej. Odjechaliśmy przy huku wystrzałów armatnich i śród dźwięków dzwonów kościelnych; morze szalało jeszcze przez dwa dni i dopiero na trzeci dzień mogłem odprawić mszę św. za nieszczęśliwe ofiary zamachu.

Przez dziesięć dni następnych jazda odbywała się na morzu spokojnem. Było dla nas rozkoszą widzieć pojawiające się i znikające setki delfinów ze swymi łukowatymi grzbietami. Inne razy ukazywały się znowu chmary ryb latających, które, wzlatując w powietrze i migając jedne poprzez drugie, połyskiwały jakby kolorami zafirów i szmaragdów. Tak dopłynęliśmy do wyspy św. Tomasza, kolonji portugalskiej. Nasz statek został w mgnieniu oka otoczony mnóstwem łódek różnego kształtu; niektóre z nich były smukłe, podługowate, wyżłobione z pnia drzewa. Siedzieli w nich murzyni o barczystych, typowych kształtach, którzy nas przez cały dzień bawili swemi jednostajnemi dumkami. Wieczorem tego dnia ruszono dalej po morzu spokojnem, ale śród nieznośnego skwaru. Ach, jak wtenczas każdy zazdrościł owym delfinom!

Jakkolwiekbądź, po trzech dniach dobiliśmy do Loandy. Co za wspaniała przystań! W głębi dwóch skrawków stałego lądu, na schyłku pięknego pagórka, okolona smukłemi palmami, leży stolica Angoli, która aczkolwiek położona pod równikiem, posiada jednak klimat znośny i bardzo obiecującą przyszłość. Odpłynęliśmy 17. marca a po upływie jednego dnia i jednej nocy dotarliśmy do Lobitu, ostatniego skrawka ziemi należącego do Angoli, gdzieśmy się przez kilka godzin zatrzymali. Śród szalonej burzy posuwaliśmy się ku przylądkowi Dobrej Nadziei, gdzieśmy zawitali po 5 dniach żeglugi. Było to wieczorem; pogoda była śliczna, we wspaniałej zatoce cisza, przerywana tylko lekkiem przesuwaniem się parowców różnego gatunku. Miasto rozciągające się wielkiem półkolem naokoło góry i przypominające swoim kształtem Gibraltar, jaśniało tysiącami świateł elektrycznych. Podziwiałem ten widok imponujący i myślałem o drogich naszych współbraciach, których nie mogłem odwiedzić ani posłać im pozdrowienia; potem udałem się do kabiny na spoczynek. Po tylu dniach

i nocach burzliwych, czułem tego prawdziwą potrzebę.

Porzuciwszy Capetown 24. lutego, okrążyliśmy Afrykę Południową i wyjechaliśmy na Ocean Indyjski, nie spuszczając z oka stałego lądu. Co za urodzajne wybrzeża! Co za obfita roślinność! Tu i ówdzie wznoszą się śliczne wioski i bogate miasta; wszędzie widna praca, bogactwa, żywotność. Po 5 dniach żeglugi wybrzeża stawały się znowu spiekłe. Transwal się skończył a zaczęła inna kolonja portugalska, Mozambik. Istotnie po niejakim czasie dobiliśmy do jednego z ważniejszych miast, Alfonso Marques, gdzieśmy się zatrzymali celem ładunku węgla. Celebrowałem w jedynym publicznym kościele, który służy także za kościół katedralny, choć właściwa katedra znajduje się w Mozambiku, mieście, które dało nazwę całej kolonii. Zostałem zaproszony do najprzew. X. biskupa, który mnie przyjął i gościł prawie przez cały dzień. Jest to mąż ducha iście apostolskiego, pełen rozsądku i gorliwości. Ach, jakby pragnął widzieć jak najwięcej synów X. Bosko pracujących nad powstrzymaniem zalewu błędu, mianowicie muzułmańskiego... tymczasem krząta się, jak może i ma nadzieję, że P. Bóg spełni jego pragnienia.

Drugiego marca ruszono w dalszą drogę. Po półtoradniowej okropnej żegludze przybyłem do Beiry. Odprowadziłem poczciwe Siostry na miejsce ich przeznaczenia, gdzie pracują z wielkim pożytkiem. Celebrowałem u nich, a ponieważ to był Popielec, poświęciłem i posypałem popioły. Wieczorem ruszyłem dalej po morzu tak burzliwem, jakiego nigdy dotąd nie widziałem. *Portugal*, chociaż to statek wyborny, przecież pod ciosami gwałtownych bałwanów obracał się jak wartałka; mimo to zaniósł nas szczęśliwie aż do Mozambiku, do celu mojej długiej podróży. Dzięki Bogu! Zostałem przyjęty z prawdziwym entuzjazmem przez wszystkich tutejszych współbraci, mianowicie przez czcigodnego dyrektora ks. Barilarego.

Teraz miałbym tysiączne rzeczy do opowiadania o mieście i okolicy, a mianowicie o naszej działalności. Kraina mozambicka liczy 3,120000 mieszkańców. Położona na wschodniem wybrzeżu afrykańskiem, między równikiem i zwrotnikiem koziorożca, jest jedną z najlepszych kolonji portugalskich, właśnie dla swego położenia geograficznego i dla swoich przyszłych warunków ekonomicznych. Ziemia jest z natury nadzwyczaj żyzna, uprawa roli zaczyna tu dokazywać cudów. Innem źródłem bogactwa są lasy; są ich tutaj niezmierne obszary o drzewach wysokich i dostarczają w wielkich ilościach materjału budulcowego; jeszcze większe są bogactwa mineralne.

Brakuje tylko jeszcze rozwoju handlu i przemysłu miejscowego. Nie trzeba wspominać, ile nadziei pokłada się i w tym kierunku w działalności salezjańskiej. Wszyscy sobie obiecują, iż chłopcy wykształceni w Schronisku wyrosną nietylko na poczciwych, ale i na pracowitych ludzi, zdolnych popchnąć do nowego życia przemysł tej prowincji, która posiada wszystkie dane po temu, aby się stać pierwszorzędnem środowiskiem handlowem.

Współbracia dowiadywali się ode mnie o Tobie, ukochany Ojcze, i o innych przełożonych, w czem starałem się ich zadowolić. Także i chłopcy, mianowicie starsi, od kilku dni nie opuszczają mię podczas godzin rekreacyjnych, żądni nowin o Salezjanach. I oni kochają X. Bosko i żywią najżywszą wdzięczność dla jego następcy, który im posłał nauczycieli i wychowawców.

Inne drobniejsze szczegóły na inny raz. Prawda, że tutaj, jak mówi X. Dyrektor, jest mało czasu do pisania i sam się już o tem przekonałem. Wspomina o tem, że niegdyś przyobiecał był czytelnikom Wiadomości obszerny pogląd na tutejszą osadę, i przykro mu, że dotąd nie mógł wywiązać się z danego przyrzeczenia. Przyczyną tego jest mnóstwo zajęć. Mało nas jest, bardzo mało w stosunku do ogromu pracy.

Jednakowoż uczynimy co tylko będzie możliwem, żeby drogiego Ojca nie zostawić długo bez wiadomości o sobie. Nasi przezacni Pomocnicy niech nam będą tymczasem pobłażliwi i niech się modlą za nas i za naszą misję.

Czcigodnego Ojca najprzywiązańszy syn w Chr.

X. Marcin Rekalkati.

Dla uniknienia nieporozumień i zwłoki przy załatwianiu naszej korespondencji, uprasza się usilnie tych naszych Pomocników, którzy zwykli pisywać do Turynu, aby listy z prośbą o odprawienie Mszy świętych, nowenn itp. adresowali wyłącznie na imię przew. X. Michała Rua, Via Cottolengo, 32 - Torino (Italia), a nie inaczej. W sprawach zaś dotyczących Związku Pomocników Salezjańskich, prosimy zwracać się do Dyrekcji Wiadomości Salezjańskich. — Ogólnikowy adres p. t. " Oratorjum Salezjańskie ", jakim się niektórzy posługują, jest niewystarczający i nie należy go używać.

WIADOMOŚCI POTOCZNE

TURYN. — **Popis z katechizmu.** — Szesnastego lipca b. r. czterdziestutrzech naszych wychowanków-rzemieślników przystąpiło z niezwykłą pewnością siebie do popisu z całego małego katechizmu. Na tem pocieszającem widowisku było obecną, prócz grona przełożonych, reszta ich towarzyszów i wszyscy nasi wychowańcy studenci. Popis trwał przeszło dwie godziny, aż w końcu zostało uznanych zwycięzcami o równej zasłudze dwu młodzieńców: Henrych Bocca, uczeń krawiecki i Franciszek Ronco uczeń stolarski. Najprzew. X. Rua wyraził popisowym swoje żywe zadowolenie i zwrócił się przytem do wszystkich młodzieńców z treściwą przemową o doniosłości i o zbawiennych skutkach nauki katechizmu.

— **Dnia ósmego lipca** b. r. Ojciec św. *uznał i potwierdził wyrok* wydany przez św. Kongregację Obrzędów *super cultu nunquam exhibito* odnośnie do czcigodnego sługi Bożego ks. Jana Bosko, zgodnie z dekretami Papieża Urbana VIII. Jest to zatem jeden krok naprzód w sprawie beatyfikacji i kanonizacji naszego Czcigodnego Założyciela, o przyspieszenie której prosimy wszystkich naszych przezacnych Pomocników i gorliwe Pomocnice, aby nieustannie raczyli zanosić modły do Boga.

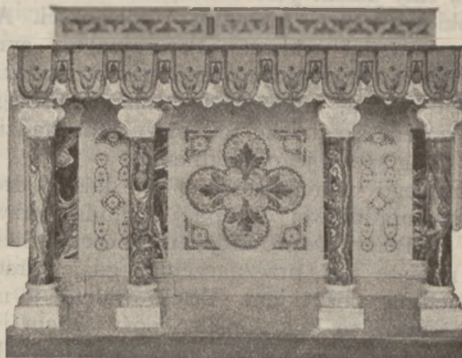
— *Dwudziestegoósmego czerwca* przybył do nas *Najprzew. X. Anioł Rajmund Jara*, biskup z Ancud w Chile. Przyjęty radośnie przez młodzież Oratorjum św. Franciszka Salezego, przez wyższych naszych Przełożonych i przez kapelę, która wykonała po mistrzowsku hymn chilejski, dostojny Gość raczył zabawić wśród nas kilka dni. Nazajutrz udał się do Valsalice odprawić Mszę świętą na grobie ks. Bosko, poczem wrócił do Oratorjum, by asystować pontyfikalnie na sumie w kościele Najśw. Marji Panny Wspomożycielki. Jego Ekscellencja odprawił także pontyfikalne nieszpory w otoczeniu siedmiu naszych nowych kapłanów, wyświęconych dnia poprzedniego przez miejscowego księdza kardynała-arcybiskupa, a w końcu udzielił potrójnego błogosławieństwa Przenajśw. Sakramentem.

— *W pierwszą niedzielę lipca* mieliśmy przyjemność ucałować pierścień Jego Ekscellencji *Najprzew. X. Synforjanowi Bogarinowi*, biskupowi z Asumpcion w Paragwaju. Młody ten Dostojnik Kościoła wyrażał się z wielką czcią o niezapomnianym X. biskupie Lasagni, od którego swego czasu otrzymał sakrę biskupią, i modlił się gorąco w kościele Matki Boskiej Wspomożycielki.

— *Wreszcie szóstego lipca rano* pożegnaliśmy ukochanego *X. arcybiskupa Cagliero*, zamianowanego przez Ojca św. delegatem apostolskim i nadzwyczajnym wysłannikiem u Rządu w *Kostarika*. Pożegnanie X. Delegata z X. Ruą było nader wzruszające. Z Genui odbił Jego Ekscellencja ósmego lipca a w *Puerto Limon* miał wylądować ósmego lub dziewiątego sierpnia.

— *Telegram*, nadany w *San José de Costa Rica*, przyniósł nam (w chwili oddania niniejszego numeru do druku) miłą wieść, że X. Delegat Cagliero wylądował tamże szczęśliwie dnia 10. sierpnia.

— *Valsalice.* — W dniu 24. czerwca b. r. pokaźny zastęp członków *Związku byłych wychowanków* i przedstawiciele kółka « *Jana Bosko* » zeszli się w Seminarjum Misji Zagranicznych w Valsalice nie po to, aby na grobie księdza Bosko złożyć żałobną koronę, jak to dawniej bywało, lecz aby



Nowy ołtarz w kaplicy przy grobie ks. Bosko w Valsalice.

tamże wysłuchać Mszy świętej i prosić Boga o przyspieszenie sprawy beatyfikacji i kanonizacji Jego wiernego sługi, oraz o jak najrychlejsze wyniesienie go do czci na ołtarzach. Celebrował Najprzew. X. Michał Rua, który w końcu zwrócił się z gorącą przemową do wszystkich obecnych, okazując swą radość z tego, iż się tak licznie zebrali; wyraził również swoje zadowolenie klerykom walsalickim za to, że swojemi zabiegami i z pomocą innych współbraci i dobrodziejów, w miejsce starego i lichego ołtarza, wznieśli na grobie księdza Bosko ołtarz nowy, zdobny w cenne marmury i mozaikę.

Komitet zajmujący się odrestaurowaniem grobu księdza Bosko, poczuwa się do obowiązku złożenia publicznego podziękowania tym wszystkim, którzy odpowiedzieli na jego odezwę, głównie zaś Salezjanom belgijskim, którzy nadesłali dziesięć ślicznych lichtarzy bronzowych.

TANJORE (Indje). — Dziesiątego maja b. r., w uroczystość Opieki św. Józefa odbyło się w naszym domu w *Tanjore* rozdanie nagród wychowankom szkoły rzemieślniczej. Na to niezwykłe w tamtych stronach widowisko zeszło się blizko czterysta osób,

pomiędzy którémi zauważono wybitnych przedstawicieli inteligencji i wielu pogan. Władze miejscowe przyjęto dźwiękami kapeli, poczem chór złożony z samych chłopców odśpiewał hymn salezjański. Dyrektor zakładu wypowiedział mowę okolicznościową a p. Mascarenhas (Maskarenias), przedstawiciel skarbnika miejskiego, podziękował Salezjanom, że mu dali sposobność do wzięcia udziału w doręczeniu nagród młodym terminatorom. Nastąpiło przedstawienie dramatu w języku tamulskim (*tamul*), urozmaicone w międzyaktach muzyką i śpiewani; przedstawienie zadowoliło wielce wszystkich obecnych.

Nasza szkoła rzemieślnicza w *Tanjore* uzyskała zatwierdzenie rządowe, który jej przyznał ponadto coroczną zapomogę i nadał prawo wydawania terminatorom świadectwa wyzwolenia na czeladnika.

AYWAILLE (Belgja). — **Nowa fundacja.** — Położona w malowniczej dolinie *Amblève* i otoczona *Ardennami*, Aywaille jest wioską zachwycającą, dobrze znaną turystom. Remonchamps, Spa, Loo i Malmédy tworzą wokoło Aywaille wieniec nader cudnych miejscowości, które nie mają nic do pozazdroszczenia nawet najpiękniejszym krajobrazom szwajcarskim. W tej to wiosce zacny kaw. Theux de Montjardin otworzył w r. 1879 szkołę katolicką, która następnie opustoszała z powodu powstania w pobliżu nowych szkół. Otóż przew. X. Dethier, proboszcz w Deigne, poparty szczodrze przez pana dra Bonhomme, nabył próżny budynek byłej szkoły i oddał go XX. Salezjanom. Gmach ten przeznaczyli oni na dom zdrowia i wypoczynku dla swego personału, oraz na bezpłatną szkołę dzienną i niedzielną dla biednych chłopców, z których niektórzy przychodzą z wiosek oddalonych od Aywaille przeszło milę drogi. Komitet złożony z osób nader czynnych, krząta się około ulepszenia nowego zakładu.

BOGOTÁ (Kolumbia). — Złotemi literami zapisał się w pamięci i w sercu obywateli stolicy Kolumbii dzień 25. marca, przeznaczony na uczczenie ks. Bosko jako Czcigodnego sługi Bożego. Rano miejscowy X. arcybiskup odprawił Mszę św. wspólną w kolegjum salezjańskiem, o godź. 9tej zaś Najdostojniejszy X. Delegat Apostolski pontyfikował na sumie, po której odśpiewano hymn *Ciebie Boże chwalimy.*

Wieczorek muzyczno-wokalny miał miejsce w sali Parlamentu. Na estradzie zasiedli Najprzew. X. Franciszek Ragonesi, delegat apostolski i J. E. X. Bernard Herrera Restrepo, arcybiskup Bogoty; wokoło nich godny wieniec tworzyli Il. EE. p. Agnoli, minister rezydent Włoch, p. poseł rzpltej ekwatorskiej, p. dr. Urrutia, minister spraw zewnętrznych. p. jenerał Caicedo, gubernator departamentu Kauka, Mgr. Cortesi, sekretarz delegacji apostolskiej i pp. dr. Herrera i dr. Restrepo Mejia podsekretarze Stanu. Uroczystość miała przebieg wspaniały a przytem bardzo urozmaicony. Z pomiędzy obecnych przemawiali: p. dr. Józef Marja Groot, minister oświaty, p. dr. Michał Caro, były prezydent rzeczypospolitej, przew. X. kanonik Rafał Carasquilla, rektor Uniwersytetu w Rosario, p. Wiktor Lombana, p. dr. Gomez Restrepo, p. poeta Diego Uribe itd. itd. Pan Alvarez Bonilla, członek korespondent hiszpańskiej Akademji Umiejętności i były minister oświaty. « w sposób łatwy, jasny i treściwy — pisze *El Porvenir* z Bogoty — wykazał doniosłość pracy spełnianej przez Salezjanów i Córki Marji Wspomożycielki w szpitalach kolumbijskich, co bezsprzecznie stanowi cechę nader wspaniałą i szczególniejszą ogólnego Dzieła ks. Bosko w Kolumbji ».

Przy końcu posiedzenia rozdano wszystkim uczestnikom portret Czcigodnego ks. Bosko, z kopją dekretu nakazującego wprowadzenie sprawy Jego beatyfikacji i kanonizacji.

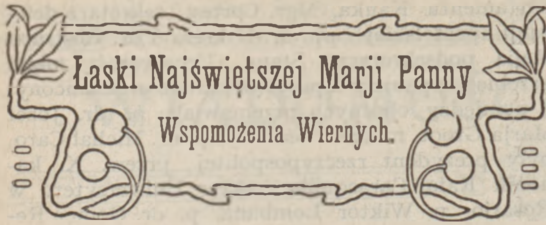
SPEZIA (Włochy). — Dzień 28. maja b. r. pozostanie na długo pamiętnym dla towarzystwa « *Fulgor* », w tym dniu bowiem rozwinęło ono poraz pierwszy swój sztandar, jako zapowiedź nowych zaciągów i przyszłych zwycięztw. Sztandar sprezentowali towarzystwu ks. kanonik Ravani i państwo Fumagalli; po jednej stronie ma on ślicznie wyszyty herb miasta a po drugiej na czerwonem polu białego orła, spoczywającego na przyrządach gimnastycznych i mającego na głowie gwiazdę z krzyżem.

Na tę uroczystość zeszli się przedstawiciele katolickich stowarzyszeń miejscowych i okolicznych, życzenia zaś i adhezje nadesłały towarzystwa « *Fortior* » z Wenecji, « D. Bosco » z Sawony i kółko « D. Bosco » z Pizy. O godź. 10-tej rano na wzmocnienie sił i dla nabrania ducha podano zebranym « wermut », przyczem prezes towarzystwa « *Fulgor* » wypowiedział do nich mowę pełną ognia i zapału.

Poświęcenie sztandaru odbyło się o godź. 11tej w kościele Matki Boskiej Śnieżnej zapełnionym po brzegi. Po ewangelji kaznodzieja miesiąca Marji, wiel. ks. Brankati, dokonał poświęcenia i miał stosowną przemowę. Wieczorem miał się odbyć popis gimnastyczny, ale z powodu niepogody musiano go odłożyć do następnej niedzieli. Wtedy to dzielna młodzież towarzystwa « *Fulgor* » wykazała, jak wielki postęp uczyniła w pierwszym roku swego istnienia; z podziwu bowiem godną dokładnością wykonała wszystkie te ćwiczenia wolne i na przyrządach, jakie są praktykowane w dzisiejszych dobrze urządzonych towarzystwach gimnastyczdych i sokolich.

Cześć tej młodzieży, co tak umiejętnie stara się o to. aby w *zdrowem ciele był zdrowy duch!*





Uciekajmy się do Marji!

Zachorowawszy przed kilku miesiącami niebezpiecznie na chorobę gardła, udałam się z prośbą do Najświętszej Wspomożycielki Wiernych, prosząc dziatwę salezjańską o nowennę i obiecując ogłosić doznaną łaskę w *Wiadomościach Salezjańskich*. Po dwukrotnem odprawieniu nowenny przed cudownym obrazem M. B. Wspomożenia Wiernych, choroba wzięła pomyślny obrót, niebezpieczeństwo minęło i stan mego zdrowia znacznie się poprawił.

Wywiązując się z danej obietnicy, składam najserdeczniejsze podziękowanie za tę i za wszystkie łaski otrzymane Najsłodszemu Sercu P. Jezusa i Najśw. Marji Pannie Wspomożycielce. Przesyłam z wdzięczności skromną ofiarę na Mszę św. dziękczynną przed cudownym obrazem i zachęcam wszystkich, aby w swoich potrzebach i dolegliwościach tego życia udawali się z ufnością do Najsł. Serca P. Jezusa i Marji, a pociechy i ratunku z pewnością doznają.

Nowy Sącz (Galicja).

JADWIGA DĄBROWSKA
nauczycielka.

* * *

Przed rokiem postanowiliśmy sprzedać w Warszawie sklep, który nam wiele sprawiał kłopotów. Mimo licznych ogłoszeń po gazetach, kupiec się nie zjawiał. Dopiero gdy postanowiliśmy rozpocząć nowennę do M. B. Wspomożenia Wiernych i poprosiliśmy o odprawienie takowej w Oświęcimiu, we dwa dni zjawił się kupiec i nabył nasz sklep na korzystniejszych dla nas warunkach, aniżeliśmy to pierwotnie przewidywali.

Za doznane dobrodziejstwo składamy wdzięcznem sercem Matce Najśw. Wspomożycielce należyte dziękczynienie.

Warszawa, 22. 7. 1908.

FRANCISZEK MORACZEWSKI.

* * *

W grudniu z r. zachorowała moja żona na zakażenie krwi i gorączkę. Lekarze zwątpili o jej uratowaniu. Udałem się wtedy z prośbą do Najświętszej Panny Wspomożenia Wiernych i doświadczyłem cudu. W jednej chwili nastąpiło polepszenie a w przeciągu dwu tygodni chora zupełnie wyzdrowiała.

Za tę to łaskę składam Najśw. Pannie Marji Wspomożycielce publiczne podziękowanie.

Dydiatycze (Galicja).

G. NIEDZIELSKI
nauczyciel.

* * *

Że Najświętsza Marja Panna jest prawdziwą Wspomożycielką Wiernych, doświadczyłem tego w dwu tajemniczych sprawach, za Jej bowiem przyczyną otrzymałem od Boskiego Serca Jezusowego pożądany skutek. — Składam więc tejże Matce Bożej i zarazem naszej publiczne, najżywsze podziękowanie i oświadczam potwierdzenie tej prawdy, że kto się do tej Matki miłosierdzia szczerem sercem, z żywą wiarą, mocną nadzieją i gorącą miłością uciecze, nie będzie od Niej opuszczony.

Z szczerej wdzięczności przesyłam skromną ofiarę na budowę kościoła pod Jej wezwaniem w Oświęcimiu.

Warszowice (Górny Śląsk), 14. 7. 1908.

M. K.

Marja najlepszą naszą Matką.

I. — Dwie córki mojego brata chorowały dość niebezpiecznie; obie poleciłem Matce Boskiej Wspomożycielce. I oto w dzień M. B. poświęcony t. j. w sobotę — a raczej w dniu, w którym uczyniłem postanowienie ogłoszenia łaski w razie jej otrzymania, oddają mi list z wiadomością, że starsza moja bratanica powiła szczęśliwie dwóch synków a młodsza pojedzie wreszcie na kurację, którą jej lekarze już od roku przepisywali.

Ufając całem sercem, że i nadal prośby me będą przez tę najlepszą naszą Matkę wysłuchane, składam Jej dzięki za to, co już otrzymałem.

II. — Stale mieszkając zagranicą, tylko od czasu do czasu mogę widzieć się z rodziną i o powodzeniu jej czegoś się dowiedzieć; przez listy wiele szczegółów nie da się zakomunikować. — Stąd smutną niespodzianką było dla mnie zastać mego brata, przy ostatniem widzeniu się z nim, prawdziwie upadającego pod ciężarem krzyżów życiowych. Zacząłem go więc w szczególny sposób polecać Najśw. Sercu Pana Jezusa i M. B. Wspomożycielce wiernych. I jakąż pociechą nie było dla mnie wyczytać w liście od rodziny chorego otrzymanym, iż on sam mówi już o sobie, że *czuje, jak mu wraca energja życiowa*, chociaż niejeden ból mu jeszcze dokucza!

Ufając, że i nadal Najsł. Serce Jezusowe i M. B. Wspomożycielka nie przestaną go wspierać, składam Im niniejszem synowskie dzięki.

Oświecim, 20. 7. 1908.

X. J. K.

* * *

Najserdeczuiejsze dzięki składam M. B. Wspomożenia wiernych za pomoc w procesie, w którym ostatecznie wyszła na jaw moja niewinność. Pewien wróg mój osobisty a także garść socjalistów, którym bardzo zależało na tem, aby mnie zniszczyć doszczętnie, oczernili mnie w swych piśmidłach przed zarządem kolei państwowych. Przeszło dwa lata ciągnął się proces; za ten czas władza kolejowa dwa razy mnie przesiedliła wśród największej zimy, wskutek czego ucierpiałem bardzo i zdawało się, iż już niema dla mnie ratunku. Ale Najśw. Marja Panna Wspomożycielka, której opiece się poleciłem, czuwała nade mną i 25. kwietnia b. r. przed najwyższym trybunałem w Wiedniu wykazała się wreszcie moja niewinność Na mocy tego wyroku dano mi awans i zwrócono mi wszystko to, co za te dwa lata było mi zatrzymane.

Załączam ofiarę na kościół M. B. Wspomożenia Wiernych w Oświęcimiu i zachęcam każdego, aby się w swych potrzebach tylko do tej Matki najlitościwszej udawał, a z pewnością zostanie wysłuchany.

Jasło (Galicja), 23. 6. 1908.

J. K.

Podziękowanie za wyzdrowienie.

P. Bogu podobało się nawiedzić mnie ciężką chorobą i przeszło pół roku leżałam w łóżku. Doktorzy mnie opuścili, pocieszali mnie jednak, że..... mi będzie lepiej. Z tych słów dość jasno wynikało, że mi chyba będzie lepiej na drugim, niż na tym świecie. Ja tymczasem strasznie cierpiałam; miałam często gwałtowne ataki nerwowe i traciłam przytomność, przez co moja rodzina w wielkiej była o mnie obawie. Mimo tych dolegliwości, nie traciłam nadziei w pomoc M. B. Wspomożenia wiernych: często się do niej modliłam i kazałam w końcu posłać ofiarę na odprawienie Mszy św. i nowenny na moją intencję. Otóż zaledwie wspomnianą ofiarę wysłano, cierpienia moje, które odczuwałam dotkliwie w całem ciele, naraz ustały i odtąd czuję się zupełnie zdrową.

Za to cudowne wyzdrowienie składam Najśw. Marji Pannie Wspomożycielce moje najszczersze podziękowanie i posyłam datek na odprawienie Mszy św. przed Jej cudownym obrazem.

Śrem (W. Ks. Poznańskie), 3. 8. 1908.

STANISŁAWA MACIEJEWSKA.

* * *

Wyjechałam jako 12-letnie dziewczę z Daszawy w towarzystwie brata mego do Ameryki. Nietylko podróż morska, ale i zabójczy klimat kraju tak ujemnie podziałał na moje zdrowie, że pomimo najczulszej opieki rodzeństwa, pomimo wszelkich wysiłków lekarskich aby mnie zachować przy życiu, z każdym dniem zbliżałam się do grobu. W ostatniej walce między życiem a śmiercią czyniłam sobie wyrzuty, że po śmierć przyjechałam do Ameryki. W gorączce marzyłam o ukochanej Daszawie a także o obrazie M. B. Wspomożycielki, znajdującym się tamże w kaplicy XX. Salezjanów. I to właśnie napełniło mię niezachwianą ufnością w pomoc Marji. Poleciłam tedy mojej starszej siostrze wysłać ofiarę ku czci M. B. Wspomożenia Wiernych i kazałam przytem poprosić o odprawienie nowenny według mojej intencji. Do tej nowenny przyłączyłam się również ja z siostrą i braćmi. Nasza ufność i wiara, połączona z nabożnie odprawioną nowenną, widocznie musiała się podobać Matce Najśw., bo naspodziewanie z każdym dniem zaczęło mi zdrowie powracać. Dzisiaj zaś nie tylko jestem zdrową i czerstwą, ale nawet wyrosłam i regularnie się rozwijam.

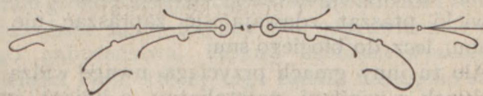
Cześć więc Najśw. Marji Pannie Wspomożycielce za dobroć mi okazaną!

. . . Ameryka.

FRANCISZKA HOŁKÓWNA.

Dziękują Najświętszej Marji Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za doznane łaski i przysyłają ofiary na Msze św. lub na cele salezjańskie, a mianowicie na zakład oświęcimski, także następujące osoby:

Witołd i Ludwika Tumidajscy z Kórnika (*W. Ks. Poznańskie*); Zofja Kossowiczówna z Dobromila (*Galicja*); Wincentyna Wnękowska z Dęby (*Galicja*); H. Karpińska z Poznania; M. N. z *Prus Zachodnich*, za otrzymane dobrodziejstwa; A. Turecka ze Lwowa (*Galicja*); B. K. z Kosztowic (*Górny Śląsk*); P. Krupowa ze Szczakowej (*Galicja*), za udanie się operacji córki; Franciszek Cebula z Grabczoka (*Górny Śląsk*), za uzdrowienie z niebezpiecznej choroby; Konstanty Potempa, z Bobrowników (*Górny Śląsk*), za polepszenie zdrowia; Antoni Siechaczek z żoną z Gosławic (*Górny Śląsk*), za odzyskanie zdrowia; Jan i Marjanna Kędziora z Podgórza (*Prusy Zachodnie*), za wyzdrowienie dwu synów; Piotr Ploch z Roździenia (*Górny Śląsk*), za uzdrowienie żony i córki; Teodor Wieczorek z Daszawy (*Galicja*), za wyzdrowienie niebezpiecznie chorego dziecka i za ocalenie drugich dzieci od zaraźliwej choroby; Antoni i Eleonora Masłowscy z Będziaków (*Królestwo Polskie*), za wyzdrowienie z bardzo niebezpiecznej choroby.



ROZMAITOŚCI

Wychowankowie schroniska Santistevan z Gwajakwilu na wakacjach w Atosze.

(*List Ks. Feliksa Tallachiniego*).

Czytelnikom « Wiadomości » !

Podróżnik, co dorożką wyrusza z Ambatu i kieruje się ku Quito, widzi otwierającą się po lewej stronie drogi prześliczną panoramę. Prawie przez całą trzygodzinną jazdę z wysokiego węzła Chimborazzo teren zniża się łagodnie, potem naraz opada niby urwiskiem i pokazuje się równina wypełniona domostwami: to *Ambato*, do którego jeździec spuszcza się karkołomną ścieżką, dorożka zaś dłuższą drogą o 3 zygzakach, a kolej żelazna, niedawno zbudowana, długiem kołowaniem. Przerznąwszy miasto, droga spada jeszcze aż do mostu kamiennego nad rzeką tejsamej nazwy, co miasto. Most ten, to jeden z 200 zbudowanych przez nieśmiertelnego Garcię Moreno nad drogą Narodową, również jego konstrukcji. Potem droga idzie znowu w górę. Tutaj tworząc dolinę w dolinie, igrając przezroczystemi kaskadami lub hucząc gęstymi porohami, stacza się gwałtowny potok. Po lewym i prawym brzegu zostawia wysokie urwiska i złomy, ale nie suche, skaliste, lecz gęsto porosłe drzewami iglastemi i owocowemi i wysłane tu i ówdzie łanami pszenicy i kukurydzy, aż oba brzegi schodzą się w wązki parów.

Klimat na szczytach gór lodowaty, na płaskowzgórzach prawie zimny, tutaj na nizinie jest bardzo łagodny, prawie ciepły; to też widać wszędzie gęste zarośla *eukaliptu*, w których rosną róże, jaśminy, lipy, jawory, topole, pyszne sady owocowe, urodzajne ogrody warzywne i bujne łąki; na nich z rzadka siedzą potężne drzewa podzwrotnikowe i nasze; pierwsze wiecznie zielone, drugie wierne uświęconej tradycyi zrzucania i ponownego pokrywania się liśćmi i kwiatami w miarę zmieniania się pór roku. Taksamo bujnie rozwijają się morele, brzoskwinie, granaty i figi obok migdałów, pomarańcz i cytryn; a winna latorośl, zawsze szlachetna, nie wiedzieć czy przenosi cień kapuli czyli czereśni podzwrotnikowej nad naszą wiśnię, lub gęste drzewo oliwne albo smukłą palmę.

Tu i ówdzie ukryte w bluszczu, kąpiące się w liściach i ciepłym zapachu cytrynowych ogrodów liczne wile pokazują biały, różowy lub niebieski skrawek swego muru. A ponad bluszcz i drzewa wystają dwie wieżyczki, które wskazują, że w tej liściastej gęstwinie kryje się wioszczyna z swym kościółkiem, proboszczem i cmentarzem, gdzie cienie drzew, zapach łąk, milczenie ludzi i słodkie dźwięki ptasząt zdawają się zapraszać nie do grobu, lecz do błogiego snu.

Ale tu inny gmach przyciąga uwagę widza: to budynek z wieżami, prostokątny, o liniach ściśle architektonicznych, wznoszący się na kilkunastu granitowych stopniach i strzelający w obłoki smukłą kopułą i wspaniałą fasadą, na której szczycie dwanaście postaci granitowych wyobraża dwunastu Apostołów. Jest to seminarjum a wioska zwie się Atocha. Przez cztery lata było utrzymywane przez synów ks. Bosko a gdy tychże wypędzono, opustoszało zupełnie i zostało samotne jak gniazdo



EKWATOR. — Wychowankowie schroniska Santistevan z Gwajakwilu na wakacjach w Atosze.

pośród cienistego lasu. Ale nie na zawsze. Już od dwóch lat bowiem w czasie wakacyi zrywa się corocznie z wybrzeża atlantyckiego, z spiekłego i ociężałego Gwajakwilu drużyna chłopców z naszego schroniska Santistevan.

Po dwudniowej odurzającej podróży pociągiem, ruchliwi Gwalakwizanie przybywają tutaj półżywi, upadający od znużenia i zdrętwiali od zimna — głównie na widok śniegu, o którym wielu ani wiedziało, że wogóle istnieje na świecie. Ale wnet przychodzą do siebie. Łagodne i świeże powietrze,

przezroczyste ruczaje, wesołe przechadzki, widok hasających po skłonach sarn, widok wspaniałych krajobrazów, lodowatych gór, rozdzielonych od siebie urodzajnemi dolinami, zamiast ogromnych lasów i potężnych rzek zostawionych na pomorzu, powietrze zawsze czyste, zawsze pogodne, skrapiane zaledwie od czasu do czasu orzeźwiającym deszczykiem, pożywne podpłomyki i soczyste owoce prędko wzmacniają ośmdziesięciu Gwalakwizańczyków, wysuszonych dziewięciomiesięczną nauką w denerwującym klimacie moczarów gwalakwiskich.

I rzeczywiście, po kilku dniach zapadłe policzki się zaokrąglają, krew szybciej i pełniej krąży w żyłach, cały organizm się ożywia, *serce chłopcom ledwo z piersi a krew z lica nie wyskoczy.*

Wtenczas gry i wycieczki przerywają się mierną pracą umysłową, do której łagodnie pociągają dobrze urządzone lokale, ciche podwórko, schludne portyki, świetliste aule i przewiewne sypialnie, a nadewszystko kapliczka domowa, z której tchnie miłość i pobożność, tak jak z ogrodzonego dziedzińca tchnie zapach cytrynowych kwiatów

A do nauk literackich i języka francuskiego, włoskiego, hiszpańskiego i angielskiego, do nauk ścisłych i przyrodniczych przychodzą godziny przeznaczone do deklamacji, do ćwiczeń orkiestrowych i śpiewu klasycznego, gdyż wykluczony jest tu wszelki rozdźwięk między życiem a pedagogią przez czujne oko niestrudzonego ks. Dyrektora; nie brak też wesołych chwil poświęconych obrazom cieniowym i maszynie mówiącej Edisona.

Tu więcej niż gdziekolwiek zakład staje się rodziną, gdzie wychowankowie bratają się z wychowawcami, gdzie uśmiecha się duch ks. Bosko, a wszędzie rozlewa światło i miłość ojcowskie, zawsze pogodne, prawie dziecinne oblicze poczciwego i zasłużonego opiekuna zakładu, X. kanonika Józefa Marji od św. Szczepana (di Santistevan).

Dla uzupełnienia obrazu rodzinnego nie brakuje dziadka. Tak zgodnie nazywają chłopcy starego Salezjanina, 60-letniego Oktawiana Donozę, który zarządza apteczką domową i opiekuje się w szczególny sposób maluczkimi. Złączona w jego osobie poezja z rzeczywistością, surowość cenzora z pieszczotami matki, wypełnia ową wszędzie dającą się odczuć próżnię u dzieci, które muszą mieć z kim się pośmiać, wynurzyć, uskarżyć, popłakać, jakby to czyniły u swojej matusi.

Tyle o wakacjach w Atosze; kto wie, czy wkrótce nie dam znać o sobie drugą korespondencją.

Przezacnych Pomocników sługa w Chrystusie

Ks. Feliks Talachini.





ŻYWOT
X. biskupa Alojzego Lasagni

MISJONARZA SALEZJAŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XLVII.

Trzy nowe fundacje. — Przygotowania do odjazdu. — Niezrozumiałe wahanie się. — W kaplicy zakładowej w Guaratinguetá. — Obawy. — Niepokojące słowa. — Opóźnienie pociągu. — Przypadek? — Smutek i milczenie. — Łotry i zniewagi. — Przeczucia. — Wszyscy się modlą. — Zderzenie i katastrofa. — Krzyki i jęki. — Ratunek. — Rozdzierające sceny. — Spokój sprawiedliwego na obliczu naszego męczennika.

Zbliżamy się niestety do chwili bolesnej, w której bohaterski apostoł Chrystusów, dzielny misjonarz salezjański i biskup miał paść ofiarą strasznej choć chwalebnej dla niego katastrofy. Zbliżał się termin otwarcia szkoły rolniczej w Cachoeira do Campo, oraz dwóch zakładów wychowawczych dla dziewcząt w Ouro-Preto i w Ponte Nova w brazylijskim stanie Minas Geraes. Pragnąc to dzieło jak najlepiej doprowadzić do skutku, ks. biskup wybrał z pomiędzy Salezjanów i Sióstr Marji Wspomożenia osoby najzdolniejsze do dobrego kierowania trzema nowemi fundacjami. Postanowił, że wszyscy połączą się z nim w Guaratinguetá, skąd miał nadzieję po ukończeniu tamże misji puścić się w drogę razem z nimi i towarzyszyć im aż na nowe pole pracy. Przełożoną zakonnic była Siostra Teresa Rinaldi, wizytatorka zakładów brazylijskich wysoce ceniona dla swych niepospolitych zalet, dla szerokości swych poglądów, gorliwości i ofiarności serca i szczególnej troskliwości w ratowaniu opuszczonych dziewcząt. Cała wyprawa składała się z 17 osób gotowych na wszystkie trudy i ofiary. Odjazd misjonarzy do miasta Ouro Preto, które było wówczas stolicą stanu Minas, naznaczony był zrazu na dzień 4. listopada, ale ważne przeszkody zatrzymały biskupa Lasagnę dłużej i odłożono wyjazd na dzień następny. Tymczasem wszyscy zakładowi zwrócili uwagę na niepokój biskupa, o którym mówiliśmy wyżej, a który niepojęty był dla osób znających jego stanowczość i odwagę.

Małe grono podróżnych, wstawszy bardzo rychło, zgromadziło się w kaplicy dla odprawienia zwykłego nabożeństwa. Biskup osobiście wysłuchał spowiedzi tych, którzy tego żądali, następnie sam spowiedź świętą odprawił, a potem ofiarował

Mszę św. ze szczególną żarliwością. Podczas gdy jego towarzysze zajęci byli ostatniemi przygotowaniami do podróży, on miał długą rozmowę z ks. Peretto, przełożonym domu Św. Joachima w Lorenie. Mówił z takiem wylaniem i zaufaniem, powierzając mu takie sekreta, dając takie zlecenia, iż te objawy czułego przywiązania, jakich dawniej od czcigodnego biskupa w tym stopniu nie doświadczał, mocno zastanowiły ks. Peretto. Nie tylko znać było, że dużo go to rozstanie kosztuje, ale jakby miał wiele jeszcze do mówienia, chciał, aby ks. Peretto towarzyszył mu kawałek drogi, żeby dalej prowadzić rozmowę. O pół do 11-ej cała rodzina salezjańska w Guaratingueta zebrała się razem, aby otrzymać błogosławieństwo swego Pasterza. Opuszczając zakład, ks. Lasagna uściskał z wyjątkową czułością dyrektora domu, ks. Foglino, poczem w otoczeniu swoich braci udał się na stację kolejową. Wszyscy zauważyli smutek rozlany na jego twarzy i dziwili się, że zawsze tak stanowczy, teraz zdawał się wahać, czy ma jechać, czy zostać. Na nieszczęście zdecydował się na odjazd.

Misjonarze wsiedli do wagonu pierwszej klasy, który im oddał był uprzejmie na usługi minister rolnictwa. Wagon ten, mierzący dziesięć metrów długości, podzielony był na dwa przedziały, połączone drzwiami; jeden był przeznaczony dla Salezjanów, drugi dla Sióstr. Przy wsiadaniu jakiś człowiek o groźnym wyrazie twarzy, przyglądał się z uwagą podróżnym i dziwił się, że nie widzi między nimi ks. Dominika Albanello; zapytał o niego z cicha jednego z urzędników kolejowych, który mu odpowiedział, że ten ksiądz już wczoraj odjechał. "A sprytny, chciał uciec!" — mruknął nieznajomy. ,,Ale nie ujdzie swego losu." — Te słowa podsłyszała jedna z zakonnic i powtórzyła je natychmiast biskupowi: ten ostatni coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że nędznicy, którzy usiłowali zakłócić owocną misję w Guaratinguetá, knują ohydną zemstę. To złe przeczucie zwiększyło jeszcze bardziej smutek, który zauważono już na jego twarzy, gdy opuszczał dom salezjański. Nie poddawał się jednakże zniechęceniu i aby rozweselić swych towarzyszy, obrócił całą rzecz w żart, zalecając wszystkim, aby powierzyli Bogu siebie i los, jaki ich może czekać. Misjonarze odpowiedzieli na to, odmawiając głośno akt całkowitego oddania się w ręce Opatrzności boskiej.

W tej chwili pociąg ruszył, a o godz. 5ej podróżni przybyli bez żadnego wypadku do *Barra do Piray*, gdzie mieli zanocować. Nazajutrz o godz. 7 ½ wsiedli do pociągu dążącego wprost przez Lafayette do Ouro-Preto. Pęknięcie jednego koła u lokomotywy spowodowało trzygodzinne opóźnienie; był to pierwszy niemiły wypadek w tej podróży. Misjonarze czekali na peronie na zestawienie nowego pociągu i z największem zdumieniem spostrzegli, że wagon dla nich przeznaczony umieszczony został tuż za lokomotywą, oddzielony od niej tylko wagonem towarowym; za nim zaś dopiero umieszczono furgon pocztowy i inne wagony Iej i IIej klasy. Ks. Albanello, który oczekiwał tutaj swych towarzyszy, zwraca uwagę naczelnikowi stacji na tę okoliczność, uskarżając się żywo na taką zmianę zwykłego porządku. Ale naczelnik stacji nie liczy się z jego słowami. Był to dla naszych podróżnych nowy, a bynajmniej nie ostatni powód do strasznych obaw. Pociąg nareszcie rusza w dalszą drogę w kierunku Juiz de Fora, przecinając śliczną okolicę. Upał nie jest zbyt dokuczliwy, mimo że zbliża się południe. Smutek ogarnął kółko naszych podróżnych, a milczenie przerywa tylko od czasu do czasu krótka modlitwa. Nad każdym z osobna zdaje się ciężyć jakiś niewytłumaczony niepokój i nikt nie myśli o spaniu ani o jedzeniu. Ale najbardziej cierpiącą okazała się poczciwa Matka Teresa, a widok jej przykrego stanu zwiększał również cierpienie kochających ją towarzyszek. Trwogę ich zwiększyła niebawem nagła i gwałtowna burza, połączona z wichrem, błyskawicami, piorunami i strumieniami deszczu. Utrudniła ona ruch pociągu i dopiero o godz. 3 przybyło się do Juiz de Fora. Miasto to jest niezaprzeczenie najpiękniejszem z nowoczesnych miast brazylijskich i całkiem po europejsku zbudowane. Podczas postoju pociągu gromada młodych ludzi o wstrętnym wyrazie twarzy ustawiła się naprzeciw wagonu zajętego przez misjonarzy; przypatrywali się oni bacznie i zuchwale księżom oraz Siostrom, miotając co chwila przekleństwa, groźby i ohydne bluźnierstwa. Biedne Siostry M. B. Wspomożenia przejęte trwogą, podnoszą z pośpiechem okienka w drzwiczkach wagonu, na co szaleńcy wybuchają djabelskim śmiechem, krzycząc:

,,Tak! tak! zamknijcie się dobrze!.... Obaczycie, co was spotka!" O czemże myślą ci galernicy? Co chcą powiedzieć? Było to niezrozumiałem dla misjonarzy i Sióstr. Ponieważ krzyki nie ustawały, ks. Zatti wysiada z pociągu i zwraca się do tego, który się zdawał najzuchwalszy i najzawziętszy. niegodziwiec ten jednak wymyka się i kryje, a tymczasem lokomotywa gwiżdże po raz ostatni i poczciwemu księdzu zaledwo zostaje czas by wskoczyć do wagonu. Niestety, słowa zagadkowe, które wszystkie dobrze słyszały, nie mogą zejść z myśli nieśmiałych a świątobliwych Sióstr zakonnych. Rozmawiają o nich, rozbierają ich znaczenie i nie mogą się oprzeć bolesnym przeczuciom.

— Co znaczą te straszliwe groźby?

— Dlaczegóż mianoby nam szkodzić, kiedy my pragniemy wszystkim dobrze czynić?

— Czyż naprawdę — mówiła trzecia — mogłybyśmy mieć szczęście ucierpieć coś dla P. Boga? Wtedy byłybyśmy prawdziwie oblubienicami Jezusa Ukrzyżowanego!

— Ach! co za szczęście, gdybyśmy weszły do nieba z palmą męczeńską!

— Tak, ale by zostać męczenniczkami, trzeba, żeby nam wydarto życie z nienawiści dla Jezusa Chrystusa......

Pociąg tymczasem dążył szybko dalej, a Siostry zagłębiły się w milczeniu i modlitwie. Niektóre zaczęły odmawiać Różaniec, podczas gdy inne rozpoczęły swą godzinę ,,Straży" ku czci Serca Jezusowego. Biskup i księża odmawiają brewiarz.

Pociąg przebiegł już przeszło kilometr drogi, gdy gwizdawka maszyny nagle i gwałtownie się

odezwała. Biskup wychylił głowę z okna wagonu i z dreszczem przerażenia spostrzegł drugi pociąg, całą siłą pary nadjeżdżający ze strony przeciwnej. Przez krótką chwilę sądził, że są dwa tory, ale rychło spostrzegł, że się mylił. Jakiś człowiek zeskakuje z lokomotywy; nie można się było łudzić: z powodu znacznego zakrętu linii maszyniści obu pociągów nie mogli się pierwej widzieć. Spostrzegłszy blizkie niebezpieczeństwo, dali natychmiast kontrparę z narażeniem własnego życia. Niestety, było zapóźno. Pociąg tylko nieznacznie zwolnił biegu i biskup Lasagna miał tylko czas zawołać: ,,Boże! mój Boże! zderzenie! Marjo Wspomożycielko, ratuj nas!'' Nie dokończył jeszcze tej modlitwy, gdy z szybkością błyskawicy oba pociągi uderzyły o siebie. Lokomotywy zwarły się jedna z drugą ze straszliwym łoskotem i rozprysnęły w kawałki, furgon pocztowy wtłoczył się do wagonu misjonarzy, rozbijając jego boki, łamiąc wszystko, gniotąc nieszczęśliwych podróżnych, i zatrzymał się pół metra zaledwo od miejsca, gdzie siedzieli księża Albanello i Zatti, którzy cudem wyszli cało. Obaj drżąc na całem ciele, widzą swój okazały wagon przemieniony w mgnieniu oka w stos podruzgotanego drzewa, żelaziwa i... trupów. U nóg ich leżeli jeden z księży i jedna z Sióstr w kałuży krwi.

W swem przerażeniu dwaj ocaleni ledwie się zdobyli na to, aby podziękować Bogu za uratowane życie i dać rozgrzeszenie umierającym. Poczem pierwsza ich myśl jest o biskupie. Wołają go głosem zdławionym. Ks. Zatti zdołał pierwszy wydobyć się na zewnątrz przez jedyne drzwiczki, które zostały nietknięte, i biegnie na drugi koniec wagonu, szukając oczami z bolesnym niepokojem swego Przełożonego, którego nareszcie odkrył zduszonego między ścianami obu wozów. Głowa oparta była o okno, ale piersi były zupełnie zgniecione. Może być, że jeszcze oddychał, bo chwilę przedtem zdołał jeszcze odpowiedzieć jednej z Sióstr, która uszła z życiem i wołała do niego o ratunek: ,,Nie mogę Ci pomódz, niech cię Marja Panna wspomoże!''

Na taki widok, biedny ks. Zatti dostał chwilowego obłędu i zaczął biedz przez pole, nie wiedząc dokąd i po co: płacze, krzyczy, rozpacza, a krzyki jego rozlegają się głucho wśród grobowego milczenia, którego grozę powiększa deszcz lejący strumieniem. Nareszcie, oprzytomniawszy, powraca do pociągu i woła z płaczem swego biskupa. Niestety! wszelka nadzieja była stracona; nie można już było wątpić, że biskup Tripolisu padł ofiarą tej okropnej katastrofy.

Tymczasem, tak Salezjanie jak i inni podróżni ocaleni, wysiadają z pociągu przerażeni, nie wiedząc w pierwszej chwili co czynić; lecz zrozumiawszy, że niema czasu na marne utyskiwania, że może pod temi szczątkami leżą jeszcze żywi, których trzeba ratować, chwytają się gorączkowo pracy. Ks. Albanello i ks. Zatti, z przytomnością umysłu podziwianą przez wszystkich, wydobywszy z pod gruzów młodego brata Wilhelma Bruckhäusra, który leżał z głową ściśniętą między dwiema belkami, wołają o pomoc, żądają siekier, pił, lewarów. Stając na czele ludzi, którzy się zbiegli na ratunek, rozbijają wszystko, co jeszcze pozostało z furgonu pocztowego, aby otworzyć przejście i dostać się do ofiar znajdujących się w drugim wagonie. Po 10 minutach nadludzkich wysiłków, spostrzegają rękę wysuwającą się z gruzów; jest to jedna z Sióstr, która rozpaczliwie woła o ratunek. Ks. Zatti ściska ją za tę rękę, aby jej dać poznać, że ratunek się zbliża; ale nieszczęśliwa uchwyciła się go kurczowo z taką siłą, że wydobyć ręki nie może. Trudno wysłowić wrażenie, jakie ta scena sprawia na wszystkich obecnych. Widzą, że nie na darmo pracują i z febrycznym niepokojem prawadzą dalej roboty.

Już wieść o nieszczęściu doszła z szybkością błyskawicy do Mariano Prokopio, zaledwie o pół kilometra odległego, oraz do Juiz de Fora. Mimo ulewnego deszczu, ze wszystkich stron tłumy zbiegają się na miejsce katastrofy. Pierwsi przybywają Ojcowie Redemptoryści, przynosząc z sobą Oleje św. Z pomocą robotników, którzy im towarzyszyli, oni także usiłują nieść ratunek biednym ofiarom, które natychmiast bada i opatruje kilku lekarzy. Protestancki minister M. Taylor jest także obecny.

Nareszcie udało się wydobyć z pod stosu desek i żelaziwa, które ją przygniatały, biedną Siostrę, która pierwsza wołała o ratunek. Ubranie na niej poszarpane, niedostatecznie okrywa pokrwawione członki. Przenoszą ją z wszelkiemi możliwemi ostrożnościami do poblizkiej nędznej chaty murzyńskiej, gdzie lekarze dają jej pierwszy opatrunek. Następnie znajdują drugą zakonnicę, Siostrę Paulinę Heitzman, lecz, Boże! w jakimże stanie! Głowa cała poraniona, twarz pocięta kawałkami szkła, ręce aż do kości odarte z mięsa, stopy jednej brak. Przestrach odebrał jej przytomność: to też nie czuje bólu swych straszliwych ran. Przenoszą ją do tejże samej chaty, gdzie lekarze ją opatrują, nie tając swych obaw o jej życie.

Prace prowadzone są dalej i niebawem udało się otworzyć drugie przejście z przeciwnej strony wagonu. Jęki i płacz podwajają się; zewsząd przyzywają na pomoc ks. Zattiego, który przechodzi od jednego do drugiego, zalecając cierpliwość, dodawając odwagi wszystkim, podczas gdy mimo znużenia i deszczu prowadzi się dalej rozbieranie ścian i podłogi obu wagonów. Przez nowy otwór dostają się do brata stolarza Dominika Germano, lekko tylko poranionego. Potem wydobywają Siostrę Marję Kazyllę. Nie jest ona już podobna do istoty ludzkiej, tak jej twarz jest rozbita, całe ciało pokaleczone, okryte jedną masą krwi i błota. Jeden z lekarzy, gorliwy Pomocnik salezjański, każe ją przenieść do swego własnego domu i zajmuje się nią z całem poświęceniem. Po wielu wysiłkach można dotrzeć do Siostry Florisbelli, ale stan, w jakim ją znajdują, przeraża nawet ratujących: ubranie tej nieszczęśliwej jest zupełnie poszarpane, rany okropne, cierpienia straszliwe. Mimo to znalazła dość siły, aby zedrzeć fartuch z leżącej obok i niestety nieżyjącej już Siostry Jadwigi Gomez Braga, i okryć się nim.

(*D. c. n.*).

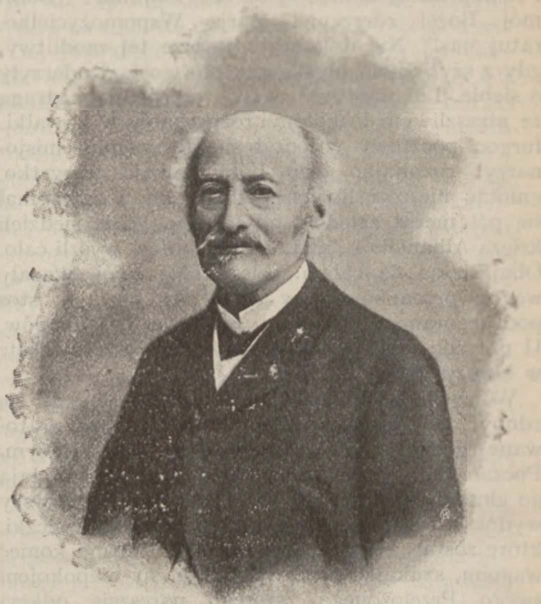
NEKROLOG.

Ś. p. Markiz Remus de Villeneuve-Trans.

Krótka depesza, wysłana z Lyonu w dniu 26. maja b. r., przyniosła naszemu czcigodnemu X. Jenerałowi wieść o zgonie wzorowego katolika a przytem dzielnego pomocnika salezjańskiego, ś. p. markiza de Villeneuve-Trans. Śmierć zaskoczyła go właśnie wtedy, kiedy się przygotowywał do odbycia swej dwudziestodziewiątej z rzędu pielgrzymki do świątyni Najśw. Marji Panny Wspomożycielki w Turynie.

Zimą r. 1879 zmarły chorował ciężko w *Hyeres*. Doktor d'Espiney, który go leczył, poprosił X. Bosko, bawiącego podówczas w południowej Francji, aby go poszedł odwiedzić. Zaraz od pierwszej chwili X. Bosko umiał natchnąć chorego taką miłością i ufnością w pomoc M. B. Wspomożycielki, że tenże przyrzekł odbywać corocznie pielgrzymkę do Turynu, jeżeliby, jak go zapewnił X. Bosko, rzeczywiście wyzdrowiał. Gdy słowa X. Bosko się ziściły, p. markiz dotrzymał sumiennie danego przyrzeczenia. Aby zaś upamiętnić to swoje wyzdrowienie, wystawił w swej włości w Roquefort piękną figurę Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych, u stóp której codziennie lubiał się modlić.

Zmarły należał do jednego z najznakomitszych rodów francuskich i oddał znaczne usługi tak swej ojczyźnie, jak i Kościołowi. Początkowo poświęcił się karjerze wojskowej i jako oficer wziął udział najpierw w kampanji krymskiej a później w 1870 r. w wojnie francusko-pruskiej; wtedy to — po strasznej bitwie pod Forbach — dostał się do niewoli. Po zawarciu pokoju wystąpił z wojska i zajął się gorliwie organizacją katolickich stowarzyszeń robotniczych. Dzięki swej ruchliwości i przedsiębiorczości, będąc



Śp. Markiz Remus de Villeneuve-Trans.

prócz tego znakomitym mowcą, zdołał zebrać pod swojem przewodnictwem przeszo dwieście kółek rolniczych, których członkowie niemałe z tego odnieśli korzyści.

Niestrudzonemu bojownikowi za sprawę katolicką a naszemu szczodremu pomocnikowi — zaszczytne wspomnienie!

Wieczny spokój jego duszy!

Za pozwoleniem Władzy Duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef Gambino.

Drukarnia salezjańska. (B. S.) — Turyn, 1908.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor na Austro-Węgry: G. B. Monauni. (Trento-Austria).